Nr. 35. Warszawa, dnia 19 Sierpnia (1 Września) 1900 r. **Rok XX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

Co dalej?

Pekin zajęty, a raczej obezwładniony, bo bez materyalnego osadzenia wojskami wystarcza trzymanie go postrachem, patrolami i surowością wojskowo-policyjną. Co już zajęli dotychczas sprzymierzeni, w obu swych grupach: rosyjsko-francuskiej i anglo-amerykańsko-japońskiej — a czego jeszcze nie zajęli — tego jasno z depesz nie widać, doniesienia są nawet tak bałamutne, że poprostu mącą wyobrażenie dokonanych postępów, plączą działaczy i działania, mylą daty, podają jedne miejscowości za drugie i ostatecznie nie pozwalają na skreślenie choćby najogólniejszego, najsuchszego opisu.

Doniesienie najświeższe o 30,000 wojsk chińskich na zachodo-południu Chin i o wyruszeniu nawet już przeciwko nim Amerykanów —zapewne tylko na wywiady — jest równie fałszywym brylantem, jak była zapowiedź 300,000 gotowych do boju jeszcze przed zdobyciem Ta-ku. Tak samo bajecznem jest jakieś wojsko, co to miało z cesarzową wdową wyjść z Pekinu w drogę, którą sobie obrała: do Hsi-nganfu, starożytnej stolicy prowincyi Szen-si, a nieraz już w dziejach stolicy bądź północnego, bądź zachodniego państwa chińskiego. Cesarzowa wdowa, czy regentka, sprawczyni nieszczęść dzisiejszych, więcej myśli o sobie, niż o państwie; ale nie mogła pomyśleć tak, żeby ogałacać stolicę z sił zbrojnych przez wytwarzanie sobie eskorty z całych korpusów. Chiny miały zaledwie tyle wojska, zasługującego na tę nazwę, tj. zorganizowanego po europejsku, ile go wystawiły po nad Pei-ho, od Ta-ku do Pekinu i ile go jeszcze wystawią na pomorzu wschodniem, około Szang-haju, Nankinu i Kantonu.

Trudności wojennych zatem nie będzie. Reakcya w ludzie i narodzie chińskim przeciwko Bokserom, o której telegraf już donosi, prawdopodobniejszą jest od reakcyi przeciwko cudzoziemcom. Z Pekinem cały interes poszedł tak gładko, że gdyby wola działająca miała w sobie dziś już jednolitość do działania niezbędną, zajęcie stolicy byłoby tylko początkiem i zarazem podnietą do zajmowania samych krain chińskich. W braku tego niezbędnego warunku — Chiny ocaleją, ocaleje ich terytoryum i to półżycie dziejowe, które odtąd pędzić będą musiały.

Wojna Europy z Chinami skończona. Europa ma przed sobą tylko trudności dyplomatyczne: z samą sobą, polityczne zaś, tak w teoryi, jak w praktyce: z ogromem społeczeństw terytoryalnie, obyczajowo i umysłowo trzymających się jeszcze w silnej z sobą jedności, ale państwowo zupełnie osieroconych — niemających wspólnej nad sobą władzy. Dotychczasowy programat miał na celu ukaranie Bokserów w rządzie, a więc przedewszystkiem Tuana i członków Tsungli-Jamenu, wynagrodzenie szkód wraz z naprawieniem krzywd wszelkich, przywrócenie wszystkiego do stanu poprzedniego i wreszcie wytworzenie dla nowej, ciągle rosnącej energii europejskiej, w obu jej postaciach: misyonarsko - kupieckiej i państwowo-opiekuńczej, nowych też, przyjaźniejszych warunków. Gdyby w tem wytrwał i niczego nie żądał, to i tak jeszcze potrzebowałby kogoś, komuby mógł choćby najskromniejsze żądania postawić — ze skutkiem, powagą i trwałością.

Tym *kimś* może być tylko rząd, tymczasowy lub stały, ale rząd: synteza konwencyonalna domyślnej woli tej powszechności, za którąby działał. W Chinach teraz rządu niema, i cesarzowa i cesarz uciekli, a gdyby nawet pozostali w Pekinie, niedorzecznem byłoby wcielanie w nich tej osoby prawnej, której do układów i umów potrzeba. Czy Japończycy schwytali cesarzową, czy oswobodzili i potem wolno puścili cesarza—dla poważnego rozumu stanu to tylko anegdota zajmująca jedynie dziennikarzy. Potrzeba albo z Chin wziąć nową dynastyę, bo w tej, która jest, nic ma się co grzebać, albo też z siebie wydać dla Chin nowy rząd, jakieś *condominium*, i jemu zlecić wykonanie owego skromnego programatu zadośćuczynienia za doznane krzywdy. Po satysfakcyi możnaby zosta-

wić Chinom samym wybór dynastyi, bądź z tej krwi, która od r. 1644 dostarcza Państwu Niebieskiemu synów słońca, bądź z innej, nowej, z jakiegoś samozwaństwa, przywłaszczenia, może z bohaterskiego porywu i krwawych zapasów wytrysnąć jeszcze mogącej. Ale jest to tylko teorya. Zadośćuczynienie nie da się oderwać od zdobyczy, a tę zapewni najlepiej każdy sam sobie. Dynastya jako forma potrzebna będzie dla uroku, dla oślepienia, uśpienia i obezwładnienia Chińczyków; a nad wspólnem władaniem, niby Francuzów i Anglików w Egipcie w r. 1882, będzie miała tę wyższość, że usunie niebezpieczeństwo pokłócenia się. Zapewne też postara się Europa o jaką dynastyę chińską, jaki rząd stały, a tymczasem wytworzy radę z wicekrólów. Jest to dla niej droga najprostsza do celu.

Tydzień polityczny. Nie zgodzono się na to, co jest w Pekinie „miastem świętem," czy je już wzięto, czy nie: czy dzielnice cesarskie zająć, czy tylko wojska tryumfalnie przez nią przeprowadzić, czy Tuan ukrywa się jeszcze w stolicy, a nawet czy cesarzowa wdowa uciekła, czy też w pałacu gdzieś się jeszcze ukrywa? Niema zgody również i na to, czy pod Pekinem ukazały się większe jakie regularne siły chińskie, a pod Tientsinem wykonały już ruch odsieczowy? Lekkomyślni dziennikarze zaciągają znowu na regestra swoje jakieś 130,000 gotowych do boju Chińczyków, którzy lada chwila uderzą i na Pekin i na Tien-tsin; ale ci strategowie i potentaci płynnego pióra sami z księżyca chybą Chińczyków swoich sprowadzić będą musieli, bo Chiny sił takich nie mają i gdyby miały, Pekin jeszcze by się trzymał. W każdym razie szczupłe siły europejskie w obu wielkich miastach z radością powitały dowozy francuskie, włoskie i niemieckie z Europy. Gen. Höffler tymczasowo idzie pod rozkazy gen. Leniewicza.

Układów jeszcze niema; ale za to przygotowuje się nowa widownia wojny — w Szang-haju i na pomorzu jangtsekiańskiem; Anglicy podobno nawet w górnym biegu rzeki urządzili jakąś sztuczkę z okrętami swymi, która ma im „sferę wpływu" zamienić w „sferę posiadania."

W Transwalu i Oranii Anglicy uganiają się wciąż za biednymi rozbitkami, zadziwiającymi świat i śmiałością, i zręcznością, i nawet niekiedy powodzeniem, które przy straszliwej przewadze masy angielskiej nie jest łatwem. Zabranie w niewolę całego Prinslowa z butami, szlifami, z armatami, z całym oddziałem — było arcydziełem partyzantki. Dzielny De Wett, osaczany coraz węziej przez trzech aż generałów, ledwo się wymknął za Vaal do Oranii, gdzie już przyszłość może mieć tylko rozpaczliwą. Dla ocalenia pozorów mówi się jeszcze o 20,000 Boerów walczących, ale prawdziwie niema ich nawet połowy — jeden na 10 Anglików. Gdyby nie pospieszenie się z małą wojną i skwapliwe opuszczenie Natalu po kapitulacyi lutowej, położenie dziś byłoby o wiele lepsze. Krüger z Maszadodorp, daleko na wschód od Pretoryi, przenieść się miał w północno-wschodni róg rzeczypospolitej pod Pietersburg. Tam, oczywiście, zmierzałyby i walczące szczątki. W Anglii niezadowolenie z Robertsa, który istotnie energię działań wojennych zastępuje okrucieństwem odezw w stylu dzikości trzymanych. Wszyscy Boerzy od 12 roku życia są jeńcami Jej Król. Mości. Każdy, kto się nie podda dobrowolnie, pójdzie na wyspę św. Heleny. Namówionego przez szpiegów do spisku niejakiego Cordeisa (Cordua) kazał Roberts rozstrzelać. Nawet patryoci londyńscy, chamberlenowscy sarkają na niedość szlachetne postępowanie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

REFORMY SZKOLNE.

Przed kilku dniami ogłoszono zostały w *Praw. Wiestn:* trzy cyrkularze ministra oświaty do kuratorów okręgów naukowych. Na wstępie opowiedziano w krótkich słowach ich historyę. Jak wiadomo na początku r. b. zwołano do Petersburga komisyę rzeczoznawców, która miała wziąć pod uwagę sprawy szkoły średniej już oddawna wymagające poprawy. Komisya ta wkrótce ukończyła swoje obrady i skrystalizowała życzenia w formie nader licznych i szeroki zakres potrzeb uwzględniających wniosków. Pan minister, mówiąc o tem, dodaje, że większa część tych nader ważnych postulatów wymaga drobiazgowego rozpatrzenia w departamentach ministeryum, że jednak niektóre żądania były tak oczywiste, iż już dzisiaj mogą być uwzględnione. I oto — otrzymaliśmy wraz z zapowiedzią bardziej ogólnych i ważnych reform powołane wyżej trzy dokumenty.

Pierwszy wprowadza ważną reformę do zakresu nauczania języków starożytnych. Tłomaczenia egzaminacyjne z języka rosyjskiego na łaciński i grecki zostają zupełnie skasowane. Już dawniej przed laty 13 złożono dowód nieufności dla tego zupełnie bezmyślnego środka do zapełniania godzin wykładowych. Ale reforma owa była tylko połowiczną. Nie miano odwagi zdruzgotać bożka *extemporalij* i stoczyć go z tronu chwały i samowładztwa gimnazyalnego w otchłań letyjską wzgardy i zapomnienia. Dziś nareszcie „Rubikon" pozostał w tyle. Już skończy się panowanie wszelakich partykuł; ἄν i ἐάν nie będą płoszyć snów z oczu gimnazyasty; *conjunctivus* nie będzie toczył bratobójczych walk z *optativum*. Scholastyka bakałarska nie będzie siliła się więcej na tworzenie okresów kilkunastowierszowych, w których piętrzą się góry nieprzebyte nieprawidłowości i wyjątków, rozstawione są ze zręcznością strategika pułapki i sidła na naiwność i dobrą wiarę; okresów, w których wszystko było, co tylko wymarzyć sobie mogła gramatyka, choć często nie bywało wcale sensu. *Adio, o bella Napoli!*

Cyrkularz nie określa bliżej granic, w których zamknięty zostanie program nauczania języków starożytnych, ma to nastąpić jesienią. Dziś poprzestać musimy na ogólnikach.

Drugi cyrkularz nie dotyczy w istocie rzeczy uczniów; żąda on, aby przywrócona została dawna powaga rad pedagogicznych w gimnazyach. Prawnie dyrektor gimnazyum jest tylko członkiem - przewodniczącym na posiedzeniach rady, faktycznie jednak, jak opiewa cyrkularz, władza jego przybierała często charakter dyktatorski, wobec którego odmienne opinie przewodników młodzieży, poprostu przestawały istnieć zupełnie. Odtąd „rada" ma w rzeczywistości „radzić": zarząd pedagogiczny ma być instytucyą zbiorową.

Trzeci wreszcie cyrkularz domaga się, aby działalność nauczycieli była bardziej samodzielną. Wydane ongi przez ministeryum programy powinny być rozumiane tylko, jako zewnętrzne rusztowanie, po za którem kondygnacye budowli pe-

---

Marya Grossek.

APOTEOZA.*)

To są dzieje lat młodych, a myśmy już siwi!
Wszystko to przestarzałe, zapomniane, śmieszne,
Ani nas może bolcć, ani nas roztkliwi —
Serca nasze byłyby niewdzięczne i grzeszne,
Gdybyśmy jeszcze sarkać śmieli. my, szczęśliwi.
My, co od uczty życia nie wstaniemy głodni.
— Więcej nie mają często bardziej od nas godni. —

Cóż stąd, żeśmy, ustami dotknąwszy puharu,
Nie zdążyli pić z niego, gdyż puhar sprzątnięto?
Milczmy! Tysiącom głodnym kęs chleba odjęto
I kroplę chłodnej wody od ust pełnych żaru —
Głodne ciałem i duszą, spędzone zawczasu
Od stołu życia idą na śmierć głodomory,
A nam odjęto tylko łakoć ananasu,
Nas tylko pozbawiono niebiańskiego czaru,
Co się sączy po kropli do boskiej amfory
Z rosnącego na rajskich wodach nenufaru.

My też niełaskę losu przyjęliśmy chłodno,
Obydwoje... byliśmy parą dziwnie zgodną —
Serca nasze, choć różne — mimo różnic tylu —
Szybko, blizko, jak dźwięki dwa w perlistym trylu
Biegły z sobą — lub tercyi miały piękną zgodę —
Nawet gdy przyszły pierwsze rozłączenia chwile,
Gdy nas rozdzielił—nie wiem?—los na szczęście skąpy,
Czy my sami, poddając mu się bez oporu? —
Wtedy, gdy ból rozstania był w najwyższej sile,
Chleb jedliśmy, jak zwykle, i piliśmy wodę
Bez łez domieszki. Żal nasz był bez żadnej pompy —
Wiatrem rozwiano, płoche stadełko motyle
Tak się łatwo wyrzeka krótkiego wyboru,
Jak się wówczas rozstały nasze dusze młode.

Kiedy kwiliło serce, tośmy je tulili
Żartem, jak dziecko: to fraszka, ból chwili!
Wszystko jeszcze przed nami, póki młodość służy —
Za plon, co nam zniszczono, bo go w pączkach ścięto,
Tysiąc piękniejszych zbiorów da nam ten krzak róży,
Co się nazywa Miłość!..

Nie piękniej może... nie tak anielsko i górnie,
Za to szczęśliwiej zakwitł krzak powtórnie:
Po żałobie miłości przyszła miłość-święto
I, mirt swój położywszy na popiołów urnie,
Dobra — stanęła z nami do ślubnych ołtarzy.
Ona zmieniła życia pustynię jałową
W ogród, granaty dla nas, ryż siejąc i figi;
Ona, od wichru Samum i słońca, co parzy,
Dach bezpiecznego domu wzniosła nam nad głową,
Plotąc cierpliwie młodo kokosu łodygi:
Ona nad przyzbą pnące się rozpięła róże
I żywopłotem z cierni obwiodła podwórze,
By nie wtargnął w obejście wróg lub dzikie bestye,
A wewnątrz, rozpaliwszy świętą rodzin Hestyę,
By nie wygasła nigdy, stanęła na straży.
Od serca jej zatlone na głowach lichtarzy
Płomyki serc młodzieńczych zabłysły świecznikiem,
Który się z okien domu przez pustynię jarzy
Przed zazdroszczącym tego szczęścia wędrownikiem,

*) Z poematu *Setus* wiersz Herminy — odznaczony na konkursie poetyckim *Prawdy*.

dagogicznej nosić winny charakter niezależny, oryginalny, z potrzeb *danego* zbiorowiska młodzieży, *danego* czasu, *danej* miejscowości wysnuty, cementem osobistych doświadczeń a rozmyślań pedagoga spojony: ów „model" biurokratyczny zawiera tylko granice przestrzenne, po za które nauczycielowi wyglądać nie wypada. Zaś w tych dwu granicznych kopcach zamknięty, może być panem dowolnym sytuacyi, jedne punkty programu rozszerzać kosztem innych, mniej ważnych, mniej potrzebnych, albo zgoła niepotrzebnych w zmienionych warunkach czasu i przestrzeni. Jest ten cyrkularz, a raczej mógłby być niezmiernie doniosłym momentem polityki oświatowej. wieje od niego jakiś nowy zupełnie, nieznany duch indywidualizmu, jakieś zerwanie z tradycyami biurokracyi i manekinów. Ale program taki wymaga też na inną, nie urzędniczą, miarę skrojonych wykonawców: wymaga wychowawców obywateli, nietyle *ped-agogów*, ile *pedo-filów*, ludzi co na każdym kroku zdają sobie sprawę z posłannictwa, jakie na ich barkach złożyło przeznaczenie, nie rzemieślników wynagradzanych licho i o podwyżkach marzących; ogrodników dusz chłopięcych, a nie ojczymów. Czyśmy dobrze zrozumieli ducha urzędowych dokumentów, czas najbliższy pokaże. Pan minister zapowiada wyraźnie, że cyrkularze powyższe rozpoczynają nową erę działalności ministeryum na polu reform szkolnych. Niechaj następne nie dadzą na siebie czekać!

Zanim to jednak nastąpi zapoznamy czytelników z bukietem postulatów reformacyjnych, jakie związała pokrewna komisya, która we Francyi pod przewodnictwem wybitnego męża stanu Aleksandra Ribot świeżo ukończyła swe prace i w postaci książki oddała pod sąd ogółu.

FRYDERYK NIETZSCHE.

> Licht wird alles, was ich fasse,
> Kohle alles, was ich lasse,
> *Eine Flamme bin ich innerlich.*

I.

W sobotę 25 sierpnia, o południowej godzinie, zmarł w „poświęconym muzom" Weimarze Fryderyk Wilhelm Nietzsche. Dla świata nie żył on już od lat dziesięciu. Mroki nocy umysłowej już na długo przed ostatecznem rozwiązaniem fizycznem jego tragedyi życiowej, spowiły ten jaskrawy, błyskotliwy, pieniący się umysł. W tym właśnie czasie, w dobie pomiędzy chwilą, kiedy „cyferblat" przestał już świadczyć o ruchu wskazówek, ale sprężyna wewnątrz ukryta działała jeszcze, a momentem, kiedy i ona wyczerpana z energii potencyalnej, stanęła nagle — na ten „okres czasu" przypada właśnie największy rozkwit nietzscheanizmu; pochód tryumfalny nazwiska i haseł, które umiały stać się specyalnymi punktami krystalizacyjnymi, ludzi raz jeszcze zróżniczkować, gromadzić w gminy im. N. *(Nietzsche-Gemeinden).* Podczas gdy dawny samotnik z Sils-Maria musiał sam, własnym kosztem koło wydawnictw swoich zabiegać, teraz nakładcy wyciągają z ciekawości, z entuzyazmu ludzkiego mamonowe hekatomby; czasopiśmiennictwo rozbrzmiewa polemicznymi zapasami czcicieli i wrogów: tworzy się cała literatura zagadnienia *Nietzschego*; bibliografowie-kolekcyoniści wprowadzają do swych katalogów nową rubrykę i przelicytowują „białe kruki" wyprzedanych wydań. Fotografowie robią doskonały interes. Słowem N. staje się „aktualnością," „artykułem mody." I jeżeli reporterzy w rodzaju T. de Wyzewy nie przyjeżdżają go oglądać, jak Ibsena, to dlatego tylko, że na straży jego przyćmionych władz umysłowych, jego bólu, jego tragedyi stoją przyjaciołki z bliskich najbliższe, szczere i szlachetne. Gdy już obecność jego przestała wytwarzać „dreszcze wrażeń i sensacyj," odbiegły go i Malwida von Meysenburg i Lou-Andreas-Salome; ich książki już były gotowe, nic im więcej dać nie mógł. *One* zaś zostały. Stara pastorowa-matka, nauczycielka, która aż z Brazylii do jego żywego katafalku nadbiegła, — siostra.

Dziś już i wogóle niewiele tylko pozostało wiernych wyznawców z dawnych prozelitów, z galeryi wielbicieli, z tych wszystkich, dla których przez czas jakiś „Tak mówił Zarathustra" było nowoczesnym psałterzem. Smakosze „premierowi" nasycili się i odeszli. Młodzież postarzała się o lat dziesięć i w odmęcie walki życiowej utopiła wraz z wielu iluzyami hałaśliwe słowa i brzęczącą frazeologię. Histeryczki, owe wielkie *in 4-o* i małe *in 16 o*, straciły żywy punkt oparcia, kolumnę, około której mogłyby rozpiąć powój swoich grymasów, rozbiegły się, wyczuwając, szukając nowego imienia, nowego Pigmaliona. Zostali ludzie nieliczni, cisi a ubodzy duchem, dla których frazes Nietzschego istotnem był objawieniem, a którzy żyli i żyją z okruchów odsetkowych kapitału umysłowego, jaki im w darze przyniósł.

I u nas byli nietzscheaniści. Niedługa to była biesiada; krótką zaledwie trwała chwilę. Ci sami *nazywali się* dawniej darwin*istami* i chodzili z mapami graficznemi Haeckla; potem marx*istami* — produkowali wielkie połamane kapelusze i „dyalektyczne pojmowanie dziejów"; potem stirner*zystami* — sztylety mieli w oczach, czuli naturalny wstręt do mydła i fryzyera. Potem przezwali się nietzsche-*anistami*. Nic to nie szkodzi, że się rozkaprysz one jedynaczki i dziesiątek blagierów pobawi. Na premierach bywa specyficzna publiczność; bywają esteci, ale nie estetycy. Tak też było i tym razem. Lalka darwinizmu i innych *izmów* poszła w kąt, ale samą teoryą owładnęli ci, co życie traktują jako obowiązek, a naukę, jako kochankę. Z nietzscheanizmem tak być nie mogło, boć w nim treści naukowej, głębokiej nie miałeś. Co najwyżej kilkadziesiąt egzemplarzy pięknie wydanego „Zarathustry" znalazło odbiorców; trochę fotografij (gabinetowych!) zaczęło zdobić biureczka panieńskie śród tuberoz i palm, pomiędzy fryzurą huszmeńską Paderewskiego i... autografem Battistiniego. Krótką to trwało chwilę. Egzotyczny frazes, zawiany wiatrem na obce organicznie pole, niedługiem mógł się cieszyć bytowaniem. Pisano o nim trochę. Pisał w *Ateneum* dr. Garfein (1893), pisały w oddzielnych książkach panie: dr. Daszyńska i Przewóska (1896). To byli apostołowie chwilowi, rozgrzani zapałem neofici, glossatorowie, komentatorowie. Było i trochę przeciwników (Wł. M. Kozłowski: *Dekadentyzm współczesny*, 1894). Nie wiadomo mi, czy są jeszcze nietzscheaniści. W *Strumieniu* czytałem wcale dobre przekłady „Zarathustry." I to dobrze. Starożytni uczyli, że wdzięczność należy się mistrzom.

Fryderyk Nietzsche (ur. 1844), syn pastora, zapowiadał za młodu genialne zdolności filologiczne. Licząc 25 lat zaledwie, był już profesorem w Bazylei. Ale już wcześnie budził się w nim duch „odmień-

---

Ona — to wszystko nasze na tym świecie dzikim,
To bóstwo, które w ręku losy nasze waży...
— A ty dla mnie?—dla ciebie ja?—kim jestem?—Nikim!

Pomiędzy mną a tobą Czas budował kopce,
Kopał rowy, granice rozmierzał na wieki,
Aż staliśmy się sobie, jak dwie dusze obce,
Nawet mój dom od twego jest o świat daleki.

Czem my dla siebie dzisiaj? — obcy, nieznajomi
Z postaci, która naszą jest teraz i z twarzy,
Może się nigdy więcej nie ujrzymy z bliska,
A może nie poznamy, jeśli się tak zdarzy,
Nawet wieści o sobie nie będąc łakomi,
Nie usłyszymy więcej swojego nazwiska?!
To koniec! — To już nie grób i nie ślad po grobie....
I nie mogiła wklęsła nad garścią popiołu! —
Tu już czas naniósł mułu, zrównał brzegi dołu,
Tu już rośnie nie bujna trawa zapomnienia,
Ale baobab życia dźwignął się z korzenia!
I rodzi słodki owoc i żywi na sobie
Miłosne gniazda pełne ćwierkań i igraszek,
W których już nowe młode wylągł stary ptaszek. —

*

Lecz co na świecie umrze — może być pod ziemią...
Tam, w kryptach, pogrążone w mrok bez końca ciemny
Umarłe formy życia, mumie wiecznie drzemią

I dusza w sobie także ma swój świat podziemny,
Dla niej samej nieznany: tam instynkt tajemny,
Poznanie nieświadome i wola bezwiedna,

Tam przeszłość! Tam w letargu śpi ta druga dusza,
Która w nas dawniej żyła lub tkwiła w zarodku,
Tylko ją rzeczywistość zdusiła powszednia.

Ona budzi się czasem—nie wiem, co ją zmusza. —
Obejmuje rząd, staje we władz naszych środku
I cały zegar ducha na swój ład porusza:
Serce znajduje wtedy dawne swoje chęci,
Furczy zerwanej myśli nić na kołowrotku
I rzeczywistość blednie wobec widm pamięci!..

*

Kiedy na wiosnę świeci pierwsza pełnia,
Wśród mlecznej chmurki, co się runem zwełnia,
Zwinąwszy szare chmur śniegowych szatry,
Zima ucieka ponad glebą grząską,
Nocą, na północ niesiona przez wiatry,
A w biegu roni z powłóczystej szaty
Perły, sypiące się przy szklanym chrzęście.
Wiatr bije w szybę palczastą gałązką,
Jak pątnik, który do gospody puka.
Budzę się w zmroku sypialnej komnaty,
Słucham: ktoś chodzi po omacku, szuka,
Szepcząc namiętnie: „gdzie szczęście, gdzie szczęście?"
Księżyc na ścianie pisze okien kraty,
Siatką promienną znacząc szybek części —
A ono mówi: „Gdzie jest tamto szczęście,
Tamto prawdziwe?" — I westchnie Widziadło,
Dodając z wielką boleścią: „Przepadło!"

I dotąd chodzi, szepcze, spokój kłóci,
Aż zimnym potem zlana wstanę z łoża,
Spokojne zwykle serce drży namiętnie...
Księżyc mknie środkiem nadziemnego morza,
Staję przy oknie i patrząc nań smętnie,
Mówię: „Księżycu, to szczęście prawdziwe,
To jasne, wielkie, jak słońce... nie wróci!"

Jak mi to wszystko naraz w oczach zblednie,
To, co posiadam, czem się cieszę we dnie!..

ca.“ Ze Szwajcaryi pojechał na pole walki prusko-francuskiej, gdzie odznaczył się pełnem zaparcia pielęgnowaniem rannych. Po powrocie oddał się z równym zapałem pracy publicystycznej. Zaczął od pochwały entuzyastycznej Schopenhauera, a za chwilę porzucił go; przeszedł do Wagnera, i zaledwie „Oda“ była skończona — odwrócił się od niego z pogardą i wstrętem. Gnany niepokojem, trawiony żądzą wrażeń, nienawiścią do szarzyzny życiowej, złożył urząd profesora; szukał upojenia i spokoju zarazem na śnieżnych szczytach Szwajcaryi, w dolinach Włoch północnych, wszędzie przetapiając skarby płomienne swej energii umysłowej na tworzenie prac fantastycznych i „filozoficznych“ nie tyle ze znaczenia, ile z formy. Były to zawsze wybuchy wulkaniczne błyskotliwych upajających aforyzmów, epigramatów, pełne zjadliwości dla mas, dla szarych ludzi, prostych stosunków, dla tych wszystkich drobnych i drobniutkich włókienek, z których niewidzialny tkacz tworzy sieć zwykłego życia. Oczywiście, że N. dla takiego życia miał nietylko nienawiść, ale i wzgardę. Oczywiście też, że warunki temperamentu, warunki wogóle emocyonalne, nie pozwalały na jakąś systematyczną pracę. „Tak mówił Zarathustra“ — było na warsztacie zaledwie trzy tygodnie. Zresztą w tem też leżało źródło jego powodzenia. Gdyby był pisał grube i ciężkie książki, rozprawialiby się z nim uczeni, filozofowie i specyaliści. Sądziliby go może. Z tytułu frazeologii aforystycznej pięknie, soczystym, niezwykłym wypowiedziane stylem nikt nie jest odpowiedzialny przed *forum* nauki. Ale tem łatwiej entuzyazmuje taka „filozofia.“ *Silny*, po mistrzowsku, z przedziwnej, pieniącej się srebrzystą kaskadą górskiego potoku utkany prozy toast filozoficzny przemawiał do duszy wielu. A przytem ten toast był zawsze i przedewszystkiem radykalny. Na nice odwracał życie społeczne, wydrwiwał to wszystko, co nam wszystkim, albo niezmiernie wielu ciąży, co nam doskwiera, co nas nuży. Czyniło to w tej formie wielu innych pisarzy. Czynił np. Nordau — i wielu miał również wyznawców, jakkolwiek był bez porównania płytszy, a często zupełnie bezrozumny. Czynił to przedewszystkiem między innemi wielki Wolter, Wolterpamflecista, rodzic wszystkich po wsze czasy na świecie Wolteryanistów. Nietzsze zrywał ze wszystkimi autorytetami bez względu na ich źródło i powagę, bez względu na świat ich wpływu; zrywał z państwem, z kulturą, nawet z Bogiem. Jego radykalizm był bezwzględny. Nie miał litości nad żadnym we wszechświecie dogmatem. Dlaczegóż nie rozciągnął swojego sceptycyzmu, radykalizmu i na siebie samego? Dlaczego dogmat „Nietzschego“ ostał się przed tym radykalizmem? Darmo pytać o to samego aforystę. Przypuszczam jednak, że musi ten pytajnik zaboleć nieco nietzscheanistów...

Przedewszystkiem był Nietzsche radykalistą. Gdyby był żył w dobie feodalizmu, byłby zapewne — przez przeciwstawienie — demokratą. Że zaś żył dzisiaj — nienawidził „mas.“ Owe ciżby uliczne, owi wyborcy, owi zbyteczni (*die Viel zu Vielen*), owe masy ludu pracującego, obciążone, uznojone, owe „żywe — jak mówił — rogatki dla geniusza, hamulce postępu“ — precz z nimi! Można spotkać u niego taki frazes np.: „Głupoty kwestyi robotniczej szukać należy w tem, że ona wogóle istnieje. Nie należy pytać o pewne rzeczy — oto pierwszy rozkaźnik instynktu“; albo gdzieindziej żałuje on, że nie można z robotnika europejskiego wytworzyć „typu chińskiego.“ „Czego chcemy? Jeżeli chcemy jakiegoś celu, musimy chcieć i środków: jeżeli chcemy niewolników, jesteśmy głuptasami, jeżeli chowamy sobie panów...“ Oczywiście, nie był on odpowiedzialnym za pianę słów, którą ubijał jego bogaty język ze słabej wiedzy, braku wszelkiego krytycyzmu, nadmiernego wyczulenia podmiotowego. Odpowiedzialni są tylko, jak rzekłem, nietzscheaniści. Albo i—nietzscheanistki. Tych ponoć było najwięcej. Dlaczego najwięcej — to kwestya inna, której rozważać tu nie możemy, ale kwestya ciekawa, wcale ważna, przyczynek do psychologii społecznej naszych czasów. A jednak on, „słońce słońc,“ taką samą miał na języku nienawiść dla kobiety, jaką dla mas ludowych. „A jeśli pójdziesz między kobiety, nie zapomnij wziąć bata ze sobą,“ znacie te troglodytowe, brutalne, okrutne słowa? A jednak one, one przedewszystkiem, arystokratki z urodzenia i ducha, Malwida von Meysenburg i jej współzawodniczki, u stóp jego wsłuchane i wpatrzone, w Nadczłowieka — Apollina — Nietzschego, głęboko wierzyły, że te słowa to „dobra nowina,“ a nie nikczemność, objawienie geniuszu, a nie dalekie echo atawizmu. Zaprawdę, bajka o Sinobrodym nie jest tylko zwyczajną na miarę dziecinnej, naiwnej wyobraźni skrojoną anegdotką!

(D. n.)

S. P.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Zalusienie języka polskiego w nauce religii. — Walka Niemców z pruską polityką narodową. — Statystyka zwycięstw Polaków na polu ekonomicznem według *Tagblatta*. — Sprawozdanie komisyi kolonizacyjnej i jej pomocnicy śród ziemian polskich.

Dnia 9 sierpnia na rozkaz pruskiego ministra oświaty, Studta, we wszystkich szkołach poznańskich zniesiono wykład religii w języku polskim a zarazem obowiązującą dotychczas naukę języka polskiego. W szkołach prywatnych dla dziewcząt nakazano także udzielać nauki religii wyłącznie w języku niemieckim.

Obecny zamach na język polski w Prusach nie jest pierwszym. Wykonano go już w r. 1883 pod wodzą nadburmistrza poznańskiego, Kohleisa. W szkołach poznańskich zniesiono wówczas język polski jako wykładowy w nauce religii. Ale wtedy rozporządzenie pochodziło z góry, a nawet regencyi poznańskiej z Berlina kazano przywrócić język polski. Rozkazu tego wszakże nie usłuchano i dopiero gdy cesarz Wilhelm I telegraficznie zaprotestował temu nadużyciu, przywrócono dawny stan rzeczy, a wyższego radcę, Seligo, usunięto z Poznania. Dziś głównym sprawcą nowego gwałtu jest były prezes regencyi poznańskiej, junkier pomorski v. Jagow. Z jego to inicyatywy zwołano tajne zebranie nauczycieli niemiecko-katolickich, na którem zawyrokowano, że nauka religii może być udzielaną w języku niemieckim. W ten sposób sprawa poczęta zaczęła się rozwijać w dalszym ciągu. Były landrat strzeliński, Hassenpflug, po objęciu stanowiska wyższego radcy regencyjnego, przed kilku tygodniami wysłał do ministra obszerny memoryał, w którym radził pozostawić wykład religii po polsku tylko na stopniu najniższym,

Jak mię to wszystko razem jeno smuci!..
Takie to jakieś mizerne i krzywe,
Nie warte nawet wzmianki... Czem jest? — Niczem!
Przed jednej straty niezmiernem obliczem.

Odtąd zburzona jest ta cisza strojna,
Którą podeszła przybiera pogoda —
Duszy dojrzałej harmonia dostojna:
W sercu mem wstaje bunt, pożar i wojna! —
Ręce, jak zwiędłe, opuszczają pracę
I dnie przechodzą mi w gryzącej nudzie,
Na próżnych żalach bezsennie noc tracę,
Nie cierpię ludzi — mnie nie cierpią ludzie —
Targam swe więzy — ja, taka spokojna —
I trwa ta męka, aż zwykły stan wróci,
Powrotna fala w szczęśliwej godzinie
Znowu ode mnie wstecz sobie odpłynie,
I ta powrotna Miłość mię porzuci...
Bo to jest Ona... Dusza moja młoda!
Co rok, gdy Wiosna z za mórz do nas dąży,
Gdy perełkami jasna kapie woda
Z uciekającej, srebrnej Zimy płaszcza —
Przychodzi do mnie moja Dusza młoda,
Z jakichś nieznanych mi pęt się wywłaszcza
I u wezgłowi moich nocą krąży...

Dlaczego wraca? — nie wiem. Skąd się bierze?
Z ciemnic mej czaszki, czy kędyś z za świata?...
Czy się po wolnym błąkając eterze,
Kiedy błękitne skrzydełko utrudzi,
Krótko na ziemię, jak skowronek, zlata,
Dawne swe u mnie odwiedzając leże?..
Czyli, zwinąwszy skrzydła nietoperze,
Śpi w mózgu moim, gdzie się czasem budzi?..
Nie wiem! — Tajemnic ona swoich strzeże:
Zlata, odlata... jak wędrowne ptaszki
W otchłań eteru, czy w ciemnie mej czaszki?..

Zaledwie raz jej obecność posłyszę,
Wnet druga dusza kędyś zmartwychwstaje!..
Czuję!.. bo kiedy noc zawiesi ciszę
I zda się nawet, że serce ustaje,
Słychać — ta z tamtą przez przestrzeń rozmawia
Tym głosem buntu, co się łzą zaprawia.
Tak w ciemnym lesie zbłąkane dwa ptaki
Jeden drugiemu znak kwileniem daje,
Aż wpadną na te tajemnicze szlaki —
Ślad wydeptany w powietrzu, po niebie
Przez inne duchy, wiatry, albo ptaki —
I trafią — skrzydeł gościńcem — do siebie!

To moja Dusza... i jego Duch młody.
Te, co w nas zmarły z młodością współcześnie!..
Co rok w tej porze, gdy topnieją lody,
Zrzucają z siebie snu długiego pleśnie,
A gdy śnieg kwiatu spadnie na ogrody
I rozpoczyna słowik nocne pieśnie,
Schodzą się z sobą na Wspominek gody...
Kiedy kasztany kwitną i jabłonie,
Gdy drży powietrze od słowików łkania,
Bywa — w noc jasną siedzę na balkonie...
Wtem widmo jakieś księżyc mi przesłania,
Patrzę: przede mną Widziadło-dziewica
Stoi w żałobnych szatach i welonie.
Nadziemnem morzem płynie łódź księżyca,
Na piersiach białe skrzyżowała dłonie...
To Ona! — moja Młodość-pokutnica...
Ona! — poznaję ją po ściągłej twarzy,
Po drobnych ustach i po świetnem oku,
Co się pod gęstwą czarnych włosów jarzy,

powierzyć tę naukę o ile można, wyłącznie nauczycielom niemieckim, umiejącym po polsku, gdyż Polacy, chociażby byli najlojalniejszymi, zanadto ulegają księżom. Projektodawca posunął się tak daleco, że nawet radził, ażeby do seminaryów nie przyjmowano kandydatów polskich. Jakoż memoryał ten nie pozostał bez skutku. P. minister wziął gorąco do serca uwagi byłego landrata strzelińskiego, naradził się z rzeczoznawcami i wydał nakaz.

Dotychczas wykład religii po niemiecku zaprowadzono tylko w Poznaniu; ale już pisma niemieckie domagają się, ażeby to rozporządzenie zastosowano również na prowincyi. Kościół nie pozostał obojętnym na to wszystko. Ks. arcybiskup Stablewski, który dotychczas bał się jak ognia wszelkich zatargów z Berlinem, obecnie śmiało zapytuje ministra oświaty, z jakich powodów bez porozumienia z władzą kościelną nakazał uczyć dziatwę polską religii w języku niemieckim.

Czy ten nowy fakt pruskiej polityki narodowej da Niemcom pożądane owoce, wątpić należy. To tylko pewna, że ta polityka w innych dziedzinach, zwłaszcza na polu ekonomicznem, ma już zażartych przeciwników nawet śród hakatystów. Oto przedstawiciele wielkiej własności ziemskiej z powodu braku robotników wystąpili w obronie własnych interesów przeciwko polityce nienawiści plemiennej. Nawet taki organ „Związku rolników," jeszcze niedawno podniecający hakatystów do walki z żywiołem polskim, obecnie zamieścił następujący artykuł jednego z wybitnych rolników niemieckich: „Dotkliwie daje się odczuwać brak robotników szczególnie w powiatach pogranicznych, co się tłomaczy bardzo łatwo polityką ostatnich lat piętnastu. Kiedy się zaczęła zwiększać potrzeba sił robotniczych z powodu rozwoju przemysłu cukrowniczego, wydalono (r. 1886) ze względów narodowych tysiące rodzin robotniczych, pochodzących z Królestwa Polskiego. Wielka ich liczba wywędrowała do Stanów Zjednoczonych, gdzie w owych czasach panowały stosunki pomyślne dla robotników; za nimi zaś poszło wiele rodzin spokrewnionych i zaprzyjaźnionych także przeważnie z powiatów pogranicznych. O rozmiarach wychodźtwa można sądzić chociażby z tego faktu, że co najmniej połowa z 60 rodzin, zamieszkałych w mojej wsi, ma krewnych w Ameryce Północnej. Ci, którzy powrócili do kraju, nie mogli sobie dać tam rady, gdyż skutkiem pospiesznych przenosin utracili prawie całe swoje mienie. Gdy więc w r. 1892/3 rząd brazylijski wysłał do Europy agentów, celem ściągnięcia wychodźców, bardzo wielu wyjechało za morze, a w powiatach pogranicznych ruch emigracyjny przybrał takie rozmiary, że nie można go było powstrzymać nawet przez podniesienie płacy. Tym sposobom powiat Sztumski, do którego należę, w r. 1893 utracił około trzeciej części rodzin robotniczych. Wreszcie od 2—3 lat odbywa się wędrówka do dzielnic górniczych Westfalii, gdzie robotnicy zarabiają podobno 4—5 marek dziennie. U nas zaś nikt tyle płacić nie może. Rzecz prosta, iż w takich warunkach nie możemy się obywać bez robotników zagranicznych. Twierdzą powszechnie, iż nie trzeba im pozwolić na stałe osiedlanie się u nas. Wobec tego trzeba nareszcie powiedzieć otwarcie, że Poznańskie albo będzie miało robotników polskich, albo nie będzie ich miało wcale. Jeżeli można sprowadzać robotników niemieckich, to dlaczego komisya kolonizacyjna nic nie zrobiła w tej mierze? — Dlatego, że wszelkie w tym względzie starania byłyby bezowocne, jak mówił mi niedawno jeden z urzędników kolonizacyjnych. Robotnik niemiecki nie pójdzie na Wschód!... Jeżeli w czasach ostatnich wielu robotników niemieckich sprzedawało swe włości komisyi kolonizacyjnej lub Polakom — nie jest to wcale przypadek lecz skutek zniechęcenia, wywołanego brakiem robotników. Do zniechęcenia tego przyczynili się najwięcej ci panowie, którzy ze względów narodowych utrudniają nam sprowadzenie robotników dlatego, że mogą to być tylko robotnicy polscy."

Utyskiwania tego rodzaju na politykę narodową dają się coraz częściej słyszeć. Jednocześnie prasa niemiecka zaczyna mierzyć siły ekonomiczne Polaków. Niedawno polakożerczy *Tagblatt* w Berlinie podał taką charakterystykę: „Statystyka zwycięztw, odniesionych przez polskie stowarzyszenia zarobkowe, która obiega obecnie pisma niemieckie prowincyonalne z utartymi komentarzami o konieczności „odparcia najazdu polskiego" itd., jest pod wielu względami bardzo zajmującą, dowodzi bowiem, że tak zwana „polska gospodarka" u Polaków pod panowaniem pruskiem dawno się skończyła. Przeciwnie, musimy przyznać, że Polacy wzięli górę nad nami w praktycznem wyzyskaniu każdej sposobności. Oto np. mamy polską „spółkę parcelacyjną rolników," instytucyę, którą do pewnego stopnia możemy postawić na równi z komisyą kolonizacyjną. Spółka ta przy bardzo rozległej działalności mogła zapewnić swym uczestnikom 8% dywidendy. „Bank przemysłowców" w ubiegłym roku miał 49 milionów obrotu (w poprzednim 33 miliony). Dalej — „Bank związkowy polskich stowarzyszeń zarobkowych" — 6% dywidendy. Wszystkie te zwycięztwa Polacy odnoszą na małem stosunkowo terytoryum i śród ogromnych utrudnień ze strony władz. Widzimy tedy, iż Polacy dążąc do wyzwolenia się ekonomicznego z pod przewagi niemieckiej, w ostatnim roku posunęli się znacznie naprzód. Najbardziej zaś powinna dać Niemcom do myślenia ta okoliczność, że w popieraniu owych dążności współzawodniczą wszyscy ludzie, którzy mieszkając na dalekim Zachodzie, powierzają swoje oszczędności polskim bankom poznańskim i magnaci, którzy to samo czynią z pieniędzmi, uzyskanymi z majątków, sprzedanych komisyi kolonizacyjnej. Niemcy tego jeszcze się nie nauczyli. Nie potrafią oni dotąd jeszcze wyrzec się klasyfikacyi ludzi według majątku, stanu i wyznania."

Pomimo tych wyrzekań na niedołęztwo Niemców, komisya kolonizacyjna czyni znaczne postępy. Według sprawozdania, odczytanego niedawno w Kassel, do d. 19 lipca r. b. komisya kolonizacyjna nabyła 230 majątków większych i 60 gospodarstw chłopskich, ogółem 142,300 hektarów za 96 milionów marek. Z rąk polskich wykupiła 128 dóbr, obejmujących 80,000 hektarów. Oprócz osad chłopskich i rolniczych, komisya zakłada rzemieślnicze, ale na te niewielu amatorów się kwapi. Rozparcelowano 210 majątków. Koloniści mają wielką ulgę, gdyż w pierwszym roku są wolni od płacenia czynszu rentowego. W początkach osadzano tylko po 200 rodzin corocznie. W ostatnich jednak latach skutkiem silnie rozwiniętej agitacyi, liczbę tę podwojono. Koszty budowlane uczyniły około trzech milionów, które wydano przeważnie na wzniesienie 15 zborów

---

Jak gwiazda, w burzy rozwianej obłoku,
A włosy szumną spływają kaskadą
Aż do stóp Widma i dołem się kładą.

Młoda ma siostra cicho przy mnie siada,
Podobna do mnie, jak córka do matki.
Smutna jest bardzo, słowem nie zagada,
Patrzy z wyrzutem na moje dostatki,
Na mnie, że jestem spokojna i rada
Widać, o wszystko to na mnie się dąsa,
Potem zaś tylko smutnie głową wstrząsa.
Księżyc odbywa żeglugę nadziemną —
A ona siedzi i płacze nade mną.

Płacze... I jakby po danym sygnale
Z ócz mych spadają nawyknienia łuski:
Serce, bijące w piersiach tak ospale,
Bije targnięte, jak dzwon za powrózki,
Jak młot żył kruszcu szukający w skale —
I wszystko mi się w oczach przeinaczy,
Niby ktoś z życia zerwał mgły woale,
Co się w łudne mieniły opale,
A pod nią była noc czarna rozpaczy.
Chce mi się piersią paść na nocne rosy
I raz szczerości dawszy upust, w szale
Wić się po ziemi, rwać na głowie włosy
I te nikomu niewyznane żale
Wyrzucić jednym krzykiem w niebogłosy,
Żem bankrut, życia przegrałam dostatki!
— A księżyc zwolna po niebie się toczy
I, posrebrzywszy balkonowe kratki,
Młodości mojej Widmu świeci w oczy.

Srebrzystą łodzią przez morze nadziemne
Księżyc dopływa połowy żeglugi.
Widać w powietrzu drugie Widmo ciemne,
Zawisłe nakształt deszczowej posmugi,
Na wietrze szybko leci w naszą stronę,
W pospiechu lica naprzód wychylone —
To On! Duch jego... Lecz na twarz upadła,
Przed tym widokiem nie mogąc się ostać,
Zgaduję raczej, niż poznam tę postać,
I nie wiem, jak się witają Widziadła...

Usłyszę tylko dwa takie westchnienia,
Jakby pierś ludzka — cudownym sposobem —
Mogła zaczerpnąć tchu, żyjąc za grobem,
Z pod odkrytego raz w sto lat kamienia,
A gdy nareszcie z kolan się podniosę
I od rąk całe w łzach odejmę lice,
Księżyc już świeci na pustym balkonie,
Nizając na promień z płyt kamiennych rosę...
I już w powietrzu widać dwie Duszyce,
Odlatujące przez błękitu błonie...
Wiatr je jak pustą unosi stokłosę,
Tylko najwyższą nad miastem wieżycę
Trąciło stopą Widmo długowłose.

Jak gołąb leci z gołąbką do gniazda
W kraj swych pamiątek lecą znanym śladem.
Wysoko stoi srebrna nocy Gwiazda,
Między obłoczków kędzierzawych stadem.
W pół się objąwszy, szybko lecą Cienie.
Pod ich stopami góry i pagórki,
Pola i miasta mkną niepostrzeżenie,
Z dołu ich widać, jak dwie ciemne chmurki...
Oni tam lecą, gdzie przez równe pole
Po żółtym piasku gęsto idą sosny,
Gdzie dwór się schronił pod cztery topole,
W którym przeżyli romans jednej wiosny.

(C. d. n.).

ewangelickich, 11 domów modlitwy, 16 zagród dla pastorów protestanckich, 98 szkół, wreszcie pewnej liczby szpitalów i innych budowli. Skutkiem zorganizowanego osadnictwa przyrost ludności niemieckiej na terytoryach kolonizacyi wynosi 26,000 dusz.

Komisya kolonizacyjna nabyła od czasu ogłoszenia ostatniego spisu, następujące majątki na cele kolonizacyi niemieckiej: Waniszewo (w p. Gnieźnieńskim) 584 morgów, Radzyń (w pow. Szamotulskim) 1,592 mor., Padniewo (w pow. Mogilnickim) 3,056 mor., Niemczynek (w pow. Wągrowieckim) 3,081 mor., Wieczyn (w pow. Pleszewskim) 2,612 mor., Gowarzewo (w pow. Średzkim) 2,964 mor. i Ritschenheim (?) (w pow. Wągrowieckim) 1,960 mor. Ogółem 15,852 morgi.

Memoryał komisyi kolonizacyjnej ogłasza publicznie z ironią: „Polacy ofiarowali komisyi swe dobra przeważnie przez pośredników (durch Mittelspersonen).“ Ze źródła tego dowiadujemy się, iż 82 Polaków (45 właścicieli posiadłości większych i 37 drobnych) wyraziło gotowość sprzedania swych dóbr komisyi kolonizacyjnej. Nie mając odwagi traktować otwarcie z komisyą, posługiwali się pośrednikami.

WYSTAWA PARYSKA.

Paryż, 26 sierpnia

Ekonomia społeczna.

Francuzi odróżniają ekonomię „społeczną“ od politycznej. Pod ekonomią polityczną rozumieją oni właściwie naukę ekonomiczną, naukę o materyalnem życiu społeczeństw, w całym jej zakresie, ale ze szczególnem uwzględnieniem procesów i potrzeb produkcyi i wymiany, odbywających się i zaspakajanych żywiołowo, niejako ponad głowami ludzi rzeczywistych, bez uwzględnienia ich cierpień lub radości — klasyczną nauką, datującą się od Adama Smitha. Natomiast ten symptom powątpiewania o swej absolutnej wartości, ta tendencya do liczenia się z warunkami czasu i miejsca, a przedewszystkiem — z materyałem ludzkim produkcyi, z robotnikami, które noszą w Niemczech np. nazwy szkoły historycznej oraz etycznej, we Francyi wypełniają pojęcie ekonomii społecznej, jako czegoś ekonomię polityczną czasem dopełniającego, a czasem przeciwstawnego. To, co gdzieindziej rozumie się pod nazwami „socyalizmu z katedry,“ lub „państwowego,“ przedstawiciele „ekonomii społecznej“ spotykali z początku bardzo niechętnie i pozostawić chcieli po za obrębem swej nauki, swej „reformy społecznej“; ale z czasem pojęcie „ekonomii społecznej“ rozszerzyło się i dziś obejmuje również interwencyę publiczną w sprawach stosunku przedsiębiorców i najemników.

Jeden z pierwszych we Francyi pracowników na polu ekonomii społecznej, autor monografii rodzin robotniczych w całej Europie, programu „Reformy społecznej,“ opartej na wzmocnieniu i poszanowaniu rodziny rolniczej i robotniczej, założyciel różnych unij „pokoju społecznego — Fryderyk Le Play — był komisarzem generalnym wystawy powszechnej w r. 1867, i z jego też inicyatywy po raz pierwszy ekonomia społeczna miała na wystawie swój dział. Rozpisany został mianowicie konkurs jednostek, zakładów lub miejscowości, które za pomocą specyalnych urządzeń przyczyniłyby się do rozwoju harmonii między ludźmi pracującymi razem, oraz zapewniłyby robotnikom dobrobyt materyalny, moralny i umysłowy. Program konkursu obejmował: środki zapobiegania niedostatkowi, jak kasy oszczędności, wzajemnej pomocy itd.; instytucye, mające na celu zapobieganie zepsuciu, podniesienie poziomu moralnego i umysłowego robotników, podniesienie ich płac i wogóle dobrobytu materyalnego, subwencye, a więc: pożyczki, mieszkania bezpłatne lub tanie, sprzedaż rabatowa odzienia, środków spożywczych, opału. Dalej zajmowano się sposobami unikania lub załatwiania strejków, utrwalania dobrych stosunków między przedsiębiorcami a robotnikami, połączeniem pracy fabrycznej z rolną, wreszcie specyalny nacisk położono na trzy punkty, związane ze wzmocnieniem rodziny robotniczej: posiadanie na własność mieszkania, poszanowanie dziewcząt i matek.

Około 600 wystawców stanęło do konkursu, ale żaden nie został uznany za godnego wielkiej nagrody — 100,000 fr.; rozdano tylko 12 mniejszych nagród i 24 wzmianki zaszczytne.

Na wystawie 1878 r. działu ekonomii społecznej nie było wcale; zjawia się on jednak znowu, i to w znacznie większych rozmiarach, w r. 1889. Na czele stanął wówczas znany przedstawiciel ekonomii *laisser faire'*yzmu, Leon Say. Komisya rozsyła do wszelkich osób i instytucyj kompetentnych liczne kwestyonaryusze, których zbiór wraz z odpowiedziami został później wydany *) i stanowi cenne źródło do historyi ekonomicznej i stosunków społecznych. Nadesłane tablice, dokumenty, okazy, dzieła usiłuje komisya ująć w racyonalną klasyfikacyę, którą Leon Say nazywa — trochę pretensyonalnie — terminem Kartezyusza: „dyskursem o metodzie społecznej.“ Ustanowiono mianowicie sześć grup. Pierwsza zawierała wszystko, co zmierza ku powiększeniu udziału, przypadającego pracy w produkcie ogólnym lub czystym, a mianowicie: dane, dotyczące wynagrodzenia za pracę, udział w zyskach, stowarzyszenia współdzielcze wytwórcze, związki zawodowe i korporacye, terminatorstwo i szkoły rzemieślnicze, wreszcie dane, dotyczące stosunku między przemysłem wielkim i drobnym oraz produkcyą rolną wielką a małą. W grupie drugiej umieszczono stowarzyszenia wzajemnej pomocy, kasy emerytalne i dożywotnie, ubezpieczenia od wypadków i na życie, kasy oszczędności — wogóle środki podniesienia dobrobytu za pomocą własnej troskliwości interesowanych. Grupa trzecia — środki podniesienia dobrobytu robotników za pomocą zmniejszenia kosztów utrzymania lub też kosztów produkcyi w przemyśle drobnym — miała tylko dwa poddziały: stowarzyszeń współdzielczych spożywczych, oraz kredytu wzajemnego. Do czwartej zaliczono to, co służy do poprawy bytu robotników za pomocą ochrony i rozwoju życia domowego, towarzyskiego i warunków hygienicznych: mieszkania robotnicze, kółka, kluby, towarzystwa w celu zabawy i rozrywki, towarzystwa wstrzemięźliwości, a zarazem opiekę nad niemowlętami i dziećmi, oraz środki zapobiegające wypadkom nieszczęśliwym przy pracy. Instytucye patronalne, czyli wszelkiego rodzaju ułatwienia, dawane robotnikom przez przedsiębiorców ponad właściwą umowę najemną, stanowiły grupę piątą; szósta zaś miała za zadanie porównawcze zestawienie rezultatów interwencyi państwowej a inicyatywy prywatnej w zakresie „ekonomii społecznej.“

Od tej wystawy biła powaga. Z samej Francyi stawiło się 1,171 wystawców; z państw obcych, które, jak wiadomo, w r. 1889 trzymały się oficyalnie zdala od wystawy, wystąpiły w tym dziale poważnie tylko Belgia, Włochy i Stany Zjednoczone Amer. półn. W każdym razie rozdano 884 nagrody, a zbiór tych dokumentów, zgromadzonych systematycznie po raz pierwszy, miał dla badaczów, zarówno jak dla działaczów społecznych wszelkich obozów taką wartość, że nie mogli się oni pogodzić z myślą rozproszenia ich znowu po zamknięciu wystawy. Znalazł się też bogacz, jakich mało, właściciel wielkich zakładów w Baccarat, były deputowany konserwatywny, a nawet rojalista — hrabia de Chambrun, który swój kilkomilionowy majątek poświęcił na założenie „Muzeum społecznego“: dział ekonomii społecznej z wystawy powszechnej w r. 1889 stał się zarodkiem tego muzeum, które dziś rozwinęło się znakomicie, ma przy ulicy Las Cases'a w Paryżu swój własny dom, wszechstronną organizacyę, cały sztab badaczów i ekonomistów, urządza ankiety, prowadzi wydawnictwa, bacznie śledzi za wszystkimi bez wyjątku objawami ruchu społecznego, a wreszcie — otwiera bezpłatnie każdemu ciekawemu podwoje swej biblioteki, w której wszystkie szkoły społeczne, zarówno francuskie jak cudzoziemskie, zarówno najbardziej konserwatywne jak i najskrajniejsze, doskonale są reprezentowane — to też słusznie portret hrabiego de Chambrun, który umarł parę lat temu, umieszczony jest na tegorocznej wystawie na jednem z pierwszych miejsc w pałacu ekonomii społecznej *).

Obecnie wystawa ekonomii społecznej zajmuje już cały pałac koło mostu d'Alma, ten sam, w którym odbywa się cały szereg kongresów międzynarodowych, po większej części z ekonomią społeczną związanych. Nawet dwa poddziały tej grupy, hygiena i dobroczynność, nie umieściły się już w tym pałacu i zostały przeniesione: hygiena do jednego skrzydła armij lądowych i wodnych, dobroczynność—na pole Marsowe. Wszystkie państwa obce, nie wyłączając nawet rzeczypospolitej Orańskiej, biorą udział w wystawie ekonomii społecznej, a udział niektórych, w pierwszym rzędzie — Niemiec, jest imponujący.

Zaczyna się od bytu dzieci robotniczych: zawiera dane, dotyczące terminatorów, umów, stosunku rodziny do przedsiębiorcy biorącego dziecko do terminu, stosunku terminatora do przedsiębiorcy, dalej — szkół technicznych i kursów rzemieślniczych publicznych i zakładanych przez fabrykantów; ochronek, spółek gospodarczych i rolniczych; towarzystw opieki nad dziećmi robotniczemi i wreszcie — całego prawodawstwa fabrycznego, o ile ma ono na celu ochronę dzieci od złych następstw pracy zarobkowej.

Dziecko z klasy pracującej skończyło swą naukę zawodową, szuka pracy. Grupa 102 wskazuje, jaką drogą może ją otrzymać, jak przemysł i rolnictwo rekrutuje swą armię rąk roboczych (biura najmu itd.), a potem — jak ją wynagradza. Co do płacy zarobkowej, oto szereg kwestyj, na które można tu znaleźć odpowiedzi: na jakiej podstawie płaca jest regulowana (dzienna, od sztuki, pośrednicy — z drugiej ręki—wypłata lub dodatki w naturze, premie itd.)? Sposoby wypłaty? Rozstrzyganie zatargów? Stosunek między wspólnością płacy a kosztami utrzymania? Do tej grupy należy też udział w zyskach, jako pewien sposób wynagradzania najemników, i połownictwo, jako jedna z form jego w rolnictwie.

Następnie przedstawiono nam zbiorowość robotniczą w przemyśle — i w rolnictwie: koncentracya przedsiębiorstw, warsztaty wielkie i drobne, położenie w nich robotnika, przemysł domowy, bezrobocie z braku pracy, budżet rodziny robotniczej: dalej zaś — formy zrzeszenia robotników: związki spółdzielczo-wytwórcze, towarzystwa wzajemnego kredytu, banki ludowe, wreszcie związki zawodowe, rolnicze i przemysłowe, przedsiębiorców, robotników i mieszane, i łącznie z niemi —

*) *Institutions et questionnaires de l'Exposition de l'Economie Sociale de 1889.*

*) Sekretarzem Chambrana był, a obecnie — jednym ze współpracowników „Musée Social,“ jest rodak nasz, p. Antoni Kozakiewicz.

strejki i sądy polubowne, mogące je załatwiać.

A dalej znowu: bezpieczeństwo przy pracy i prawodawstwo fabryczne. Stopień ryzyka w każdym zawodzie, odpowiedzialność przemysłowców, ubezpieczenia dowolne i obowiązkowe; cały zakres prawodawstwa ochronnego.

Całkowitą grupę poświęcono mieszkaniom robotniczym i różnym formom poparcia, udzielanego im przez przemysłowców, stowarzyszenia prywatne, municypalności i rządy, całe dwie grupy — stowarzyszeniom współdzielczym i instytucyom przezorności (kasy oszczędności, systemy ubezpieczeń i stowarzyszenia wzajemnej pomocy).

Ciekawa bardzo jest grupa, w której pomieszczono to, co zmierza do podniesienia poziomu umysłowego i moralnego robotników: kursy i szkoły ogólnokształcące, zakładane przez fabrykantów, robotnicze kółka samokształcenia, instytucye odczytowe, biblioteki, muzea, towarzystwa śpiewacze i muzyczne, sportowe, strzeleckie itd. Wreszcie jedna grupa obejmuje wszystko, co się nie dało umieścić w poprzednich, uwzględniając specyalnie porównanie inicyatywy rządowej i prywatnej w celu podniesienia dobrobytu ogólnego. Mamy tu i t. zw. uspołecznienie municypalne (piekarnie, rzeźnie itd. miejskie, taksa na chleb i mięso, oświetlenie, woda) i pomoc na wypadek bezrobocia; popieranie lub organizowanie emigracyi albo imigracyi; biura pracy, sekretaryaty robotnicze, uniwersytety ludowe, szkoły nauk społecznych i giełdy pracy, i wreszcie tablice syntetyczne, przedstawiające ogólny postęp społeczny w ciągu XIX stulecia — jego „inwentarz społeczny."

Z tem wszystkiem postaramy się w dalszym ciągu zapoznać czytelnika, wiążąc działy wystawy z kongresami międzynarodowymi, poświęconymi tym samym przedmiotom.

K. Radosławski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Nowy talent.

Z konkursu poetyckiego *Prawdy* wyszedł nowy talent ze znamionami wybitnej oryginalności. Pomiędzy nadesłanymi utworami dwa: „Apoteoza" i „Hafciarka," pisane tą samą ręką, wyróżniły się tak dalece swoją niepospolitością, że w gronie sądzącem objawiła się dość silna wola przyznania nagrody pierwszemu z nich, powstrzymana jedynie pewnemi usterkami formy. Dołączona koperta zawierała niespodziankę: Maryi Grossek nikt nie znał, a tymczasem jej poematy świadczyły o talencie dojrzałym, o myśli, która już wytopiła się szlachetnym kruszcem w ogniach doświadczeń życiowych. Rzeczywiście, zachodzi tu wypadek bardzo rzadki w naszych czasach, kiedy „cudowne dzieci" gromadami wpadają do literatury i kiedy niecierpliwość autorska nie pozwala zaschnąć atramentowi przed odesłaniem rękopisu do drukarni. Pani Grossek pisze od lat kilkunastu dla... swego biurka. Raz czy dwa probowała lękliwie wysunąć swe prace na widok publiczny, ale jej mimozowa wrażliwość cofnęła się zrażona rubasznością naszych zwyczajów wydawniczo-redakcyjnych, które otwierają naoścież drzwi przed gotową sławą, a zamykają je szorstko przed siłą nieznaną, widząc w niej tylko natrętną muchę, która obraża bogów, dokucza ludziom i zanieczyszcza święty papier literatury.

Dzięki temu talent Grossekowej, który powinien był oddawna świecić w naszem piśmiennictwie, zabłysnął po raz pierwszy dopiero w konkursie *Prawdy*. Jest on potomkiem tych dawnych mistrzów poezyi, którzy poważne myśli i głębokie uczucia kładli w bardzo proste słowa. Strojność, wytworność, sztuczność, jaskrawe barwy, olśniewające połyski — są mu zupełnie obce. Chyba jakąś maleńką drobinę możnaby w nim odnaleźć ze Słowackiego a nic z nowoczesnych wirtuozów muzyki językowej. W jego pieśni jest moc, jest jakaś esencyonalność, ale nie ma dźwiękowych czarów. Mówi, ażeby coś wypowiedzieć, niewiele dbając, jak się wyrazi. To wszakże *coś* jest świeże, oryginalne i zastanawiające. Ileż to lir zdarto dla wyśpiewania bólów miłości, której węzły przeciął miecz nieubłaganego losu. Zdawałoby się, że w tej sprawie niepodobna już wyrzec nic nowego. Marya Grossek podejmuje ją w „Apoteozie" i obraca ku nam odmiennie. Nie opłakuje nieszczęśliwych kochanków, nie złorzeczy okrucieństwu świata, nie stara się klątwami rozbić kajdan jego obyczajowej tyranii, lecz pozywa ich samych przed sąd własnych serc i sumień. I my śmieliśmy nie połączyć się?—pyta jej bohaterka ze zgrozą, która w takich dramatach zwykle milczy. My zapomnieliśmy o tem, że może nasz rozdział był zbrodnią, że może z naszego związku narodziłoby się jakieś wielkie dobro, jakaś dawno oczekiwana i błogosławiona siła? Pytanie postawione świetnie i prawdziwie poetycko. Bez wątpienia, filozofujący rozum podważy je łatwo zarzutem, że nie ma żadnego dowodu i prawdopodobieństwa, ażeby jakakolwiek, najbardziej kochająca się i rozdarta para ludzka miała być rodzicami geniusza i że— jak ktoś zauważył paradoksalnie — może z niej urodzić się nawet krokodyl. Wszakże tu nie chodzi o ścisły wywód antropologiczno - fizyologiczny, lecz o poetyckie wyrażenie świętości praw, twórczej potęgi i dobroczynnego wpływu miłości, tak często targanej, gwałconej lub lekceważonej i równie często mszczącej się za swoje krzywdy. Zresztą jest to przypuszczenie niemal pewne, że gdyby stadła ludzkie spajały się tylko tem uczuciem, ród człowieczy uniknąłby wielu klęsk moralnej nędzy i byłby dziś nieskończenie bogatszym w te dobra, które stanowią najwyższą wartość życia. Nadanie tej prawdzie takiego kształtu, jaki ona przybrała w „Apoteozie," jest nietylko uzasadnionem, ale pięknie poetycznem.

Co do nas, nie wiele mamy chwil równie radosnych, jak wystąpienie każdego nowego talentu. Wówczas bowiem czujemy, że przelatuje świeży powiew przez literaturę, która bardzo łatwo ulega zaduchowi i stęchliźnie, a nadto doznajemy głębokiej pociechy z widoku żywotności społeczeństwa, która daje coraz nowe znaki siły duchowej, pracującej w jego łonie. Czy „Apoteoza" jest takim objawem, czy jej autorka jest talentem, możecie osądzić sami, przeczytawszy w *Prawdzie* utwór, który zaopatrzyliśmy powyższem objaśnieniem.

Nasza praca zbiorowa.

Dlaczego nasze występy zbiorowe nie udają się prawie nigdy? Nikt statystyki tych poronionych prob i rozwianych iluzyj nie próbował dokonać, ale gdyby dał taki obraz graficzny za przeciąg tylko kilku lat — rezultat byłby bezsprzecznie „piramidalny." Większą bowiem część naszej energii społecznej trwonimy na generalne próby żywych obrazów p. t. „Akcya zbiorowa," próby reklamowane przez reporterów, oblewane nektarem wszelakich nadziei, a pierwszego przedstawienia jakoś doczekać się nie możemy. Dlaczego?—pytanie to powraca wciąż na szpalty rozumniejszej prasy naszej, drzemie pod progiem świadomości każdego z nas, co sam pragnął skosztować chleba spólnej pracy, drzemie, a budząc się, sprawia ból nieznośny, który znowu przechodząc w stan chroniczny, spowija nas w smutek zupełnie beznadziejny: odbiera chęć do pracy, do życia w gromadzie; wyrzuca myśl naszą na szczyty wiecznym śniegiem pokryte, a uczuciom wznosić każe nieprzystępne forteca egotyzmu i samotności...

Na to pytanie silono się znaleźć odpowiedź łatwą. „Weź w rękę — mówił nam genialny publicysta — garść Polaków, polej wodą, po chwili słońce wysuszy wilgoć, na dłoni pozostanie — garść zatomizowanego *piasku*; weź natomiast garść Niemców, uczyń na nich podobne doświadczenie, otrzymasz — kuleczkę [illegible]. Bezwątpienia to zestawienie dobitnie stwierdza *stan* rzeczy, ale przyczyn nie wskazuje. I w dalszym ciągu brzmi nam w uszach szept bolesny szumanowskiej melodyi *Warum?* Zresztą porównanie z Niemcami jest skądinąd pouczające. Dlaczego np. Niemiec umie powściągnąć swoje ambicye, przytłumić ducha protestu, okiełznać indywidualizm i anarchię? Czy dla jakichkolwiek idealnych pobudek? Zbyt nadto dobrze zna go historya, znamy go „osobiście," abyśmy go o takie herezye podejrzywać mieli! My zaś etno-psychologicznie nie zeszliśmy jeszcze w te przepastne kręgi, kędy rządzi zimnym rozsądkiem pohany „interes"; w nas zaś tkwi jeszcze głęboko gest rycerski trubadurów, gest oficera, co nigdy żołnierzem nie był i być nie umiał. Przyjrzyjmy się „naszym" tańcom: to polonez, to mazur: wszystko figury do popisu solowego, wszystkie zindywidualizowane, zatomizowane; doskonale uwydatniające cechy wybitne typu, jednostki: zespołu niema.

I jest w nas jeszcze, we wszystkiem, co robimy, namiętny szept kochanka: „Czarę wychylić odrazu, spalić się w wielkiem słońcu, co dzień żyje! Co nam do jutra, co nam do filistrów! Raz żyjemy, a więc bez miary: wszystko, albo nic." Entuzyazm jednak gaśnie, słońce, co zaszło, nazajutrz zajaśnieje wielkiem światłem, ale na apolinowym wozie naszego entuzyazmu, naszego szału nie będzie. O wóz do wszelkiej roboty wnosimy ten tylko szał kochanków. Tymczasem praca społeczna nie może być budowana na miłości kochanków, jeno na miłości braci. Ta ostatnia zowie się inaczej przyjaźnią. Pierwsza jest egoistyczną, żarłoczną, może dać rozkosz bólu, i ból rozkoszy, ale społecznie biorąc, jest bezpłodną, bo łatwo przechodzi w szał wampira, który wysysa z nas — umiłowanych, rozszalałych — wszystką krew naszej energii. Druga zaś jest uczuciem społecznem; cała uwita jest z *ustępstw wzajemnych*. Nie przedstawia najmniejszego pola dla osobistych ambicyj, dla uzurpacyi i despotyzmu. Miłość niszczy, bo wszystko chciałaby w danym momencie czasu i przestrzeni dla siebie zdobyć, wszystkiem bezwzględnie zawładnąć. Przyjaźń buduje wielkie a święte, a marmurowo trwałe pałace zgody braterskiej. *As twam asi*, (ja jestem ty) — mówią buddyści. Ona nie bucha oślepiającym płomieniem obrazów pani Costenoble, jeno ogarnia nas, oskrzydla, owiewa, upaja łagodnem ciepłem, co płynie z obrazów prerafaelitów i z kart Ruskina. Ale dziś jej jeszcze niema. Nie doroślismy jej; za dużo w nas *Uebermenscha*; zanadto kochamy siebie. Tylko najdoskonalsze okazy gatunku ludzkiego zdobyć się potrafiły na taką symfonię życia, długo albo krótkotrwałą, w skutkach swych jednak nieobliczoną, płodną, boską (Schiller — Goethe). Nie nam do tych Giewontów uczuć i myśli! Na naszym padole, w płytkiej sadzawce drobnych spraw, drobnych interesików, drobnych

ambicyj panować długo jeszcze będą hamulce wszelakiego postępu, wszelakiej dobroczynnej pracy społecznej, uspołeczniającej i uspołecznionej, które jeśli czasami ustępują berła władzy, to tylko dreszczowi miłosnego upojenia, krótkotrwałego niby efemeryda, i jak ona bezpłodnego.

Jałowa sława.

Wsunął się po cichu do redakcyjnego pokoju i zatrzymał się w odległości kilku kroków od stołu. Nie zauważyłem go wcale. Dopiero po chwili, szukając rękopisu, odwróciłem głowę i spostrzegłem niewielkiego młodzieńca, o nieśmiałem spojrzeniu z wielkim papierowym zwojem w obu rękach. Zaledwie odważył się usiąść. Musiałem aż podwójnie słodką mową go powitać. „Czem mogę służyć.“ „Przyniosłem tu oto dyplom mój, jestem kandydatem warszawskiego, a obecnie doktorem niemieckiego uniwersytetu.“ „Więc,“ pytałem, nie rozumiejąc o co chodzi. „Możeby pan zamieścił wzmiankę o tem.“ „O czem, jeżeli łaska.“ „A o tem, że N. N. rodak nasz *magna cum laude* zdał egzamina w Niemczech i otrzymał stopień doktora wszechnauk X. X.“ „Ależ, Panie, czy to sprawa społeczna, ogół czytelników obchodząca? Co komu do tego, że N. N., mając wiele czasu wolnego, zamożną ciotkę, trochę wytrwałości, nauczył się kilkunastu, kilkudziesięciu czy kilkuset, najczęściej zupełnie niepotrzebnych reguł, wyrecytował je szczęśliwie, ostatecznie napisał rozprawkę studencką...“ „Ale przecież u nas panuje taki zwyczaj, oto wczoraj np. była już o mnie wiadomość w „Gwieździe Porannej.“ „To zły zwyczaj, którego my nie akceptujemy bynajmniej. Nie podajemy spisu uczniów, kończących szkoły *nasze*, a więc najczęściej pracowników koniecznie potrzebnych i pożytecznych dla kraju, którzy swoje patenty zużytkują w krajowym przemyśle, w szkolnictwie, w medycynie, a mielibyśmy podkreślać zasługi szczęśliwców, którym wróżka do kolebki włożyła trzos złota i to wszystko, co z nim jest związane: spokój ducha, równowagę hygieniczną, czas do pracy, przywileje...“ Czułem, że ma żal do mnie. Budziły się w jego oczach smugi żalu, że jednak ten karton, upstrzony łacińskimi tytułami, jest zgoła niepotrzebny. „A czy nie wiadomo Panu, ileż to słynnych ludzi, prawdziwie zasłużonych, wielkich, genialnych — odrzucało i odrzuca wszelkie honory akademickie, tytuły i odznaczenia. Wymieniłem Spinozę, który nie przyjął profesury, albowiem bał się o wolność badań swoich, Spencera, który pokilkakroć odrzucał ordery ofiarowane mu przez Wilhelma pruskiego, który nie był nigdy profesorem, a nie posiada żadnego stopnia doktorskiego. Wreszcie z naszych stosunków wymieniłem znanego filozofa, który mógł był kilkakrotnie palmy akademickie zdobyć, a umiał opanować tanią ambicyę. Jest filozofem, miłuje prawdę, służy idei, społeczeństwu. Zadowolenia szuka nie w reklamach kuryerkowych, a w sumieniu. Marzy o tem, aby go sądziła historya, a nie kumoszki i reporterzy... A zresztą, mówmy szczerze. Co to oznacza dziś dyplom doktorski w Niemczech? W Berlinie, ani w Getyndze, ani w Strasburgu, gdzie egzamin jest surowy, bezwzględny nikt nie „doktoryzuje się.“ Wszyscy uciekają na ostatni semestr „na południe“: do Lipska, Jeny, Heidelberga. Dlaczego? Pewien profesor berliński opowiedział sam kiedyś dobrą anegdotkę. Pociąg wiozący podróżnych zatrzymuje się w Lipsku. Konduktor woła: „Leipzig 10 Minuten Aufenthalt, ist Jeman ein Doktordiplom gefällig?“ (Lipsk, 10 minut, może kto życzy sobie dyplom doktorski?) Taką opinię mają w poważnych sferach naukowych południowe uniwersytety niemieckie. Boć i tu, jak w Grecyi „pieniądz, to człowiek.“ W Lipsku kosztuje doktorat 500 marek, w Heidelbergu 600, a im droższy, tem egzamin łatwiejszy. Tak dalece ułatwiony, że w Heidelbergu doktorant otrzymuje butelkę wina i kilka ciastek, któremi osładza sobie i profesorowi trudy egzaminacyjne. „Nieporządki“ panujące w uniwersytecie lipskim były przed kilku laty przedmiotem interpelacyi w parlamencie, i przedstawiciel tego uniwersytetu, deputowany i profesor zarazem, przechodził ciężkie chwile. — Oto widzisz Pan, kończyłem, dlaczego nie zamieścimy wiadomości o tem, że N. N. „pił wino w Heidelbergu z Czernym, Jellinkiem albo Kuno Fischerem.“ Ale natomiast obiecujemy sążnisty artykuł, o ile on napisze książkę, z której kto inny jeszcze, prócz niego samego, jego ciotki i niemieckiej kwestury uniwersyteckiej będzie miał pożytek...

Ta szczerość zdaje się rozrzewniła gościa. Kiedy wychodził, uścisnął mi rękę bardzo gorąco, szczerze, po bratersku. Czy spotkamy się jeszcze u wspólnego ołtarza? Chciałbym bardzo. Patrząc w jego oczy, czułem tam iskierki, których nie zdołało jeszcze zagasić fałszywe wychowanie, pycha mieszczańska i spaczona kultura.

Filozofia bicyklu.

Spotykając co parę kroków niemal na głównych ulicach Warszawy nowoczesnych bohaterów sportu i mody, czytając codziennie niemal w gazetach o ich zapasach i tryumfach, godzimy się z myślą, że to nie „byle kto“ owi spreżyści cykliści. Kiedy na szosie podmiejskiej spotykamy zwycięzcę rekordu 100-wiorstowego, okrytego kurzem, omdlałego z wysiłku nadmiernego i ze znużenia, aby tylko o jedną sekundę ubiedz współzawodnika równie zażartego i wytrwałego, równie upstrzonego medalami, znaczkami i naramiennikami — odczuwamy prócz politowania pewną pokorę. Alić nigdy nie podejrzywaliśmy, aby jakikolwiek dał się przeprowadzić stosunek pomiędzy bicyklem a... filozofią. Tak chciał jednak Niemiec, a że chciał, więc, jak mówią chłopi, „wymądrzył“ rozprawę całą: *Filozofia bicyklu* (Philosophie des Fahrrades przez Ed. Bertz'a, Drezno 1900). Autor wychodzi z założenia, że czasy gimnastów greckich minęły bezpowrotnie. Nam marzyć o ich odbudowaniu nie wolno. Grecy mieli wiele bardzo czasu, mogli się gimnastykować dowoli; była to bowiem epoka, kiedy czas nie był jeszcze pieniądzem. My zaś na uprawianie rozumnej a celowej gimnastyki zdobyć się nie możemy, a, stosując ją dorywczo i niesystematycznie, szkodzimy sobie raczej, niż pomagamy. Tutaj na szczęście znajdujemy zbawienie w bicyklu: gimnastykujemy się, bowiem, nie tracąc na chwilę z oczu *business u*. Co więcej, ten ostatni staje się dla nas poniekąd przyjemnym, a w każdym razie — oszczędzamy energię dawniej wydatkowaną na — podróże piesze.

Następuje cały szereg błogosławieństw hygienicznych: robotnik może mieszkać za miastem i dojeżdżać tylko do fabryki. Oddycha lepszem powietrzem. Ileż to strasznych wrzodów społecznych leczy ta prosta maszyna: szutoryny przestają istnieć; kwestya mieszkań dla robotników zostaje rozwiązana, albowiem można je budować tam, gdzie ziemia jest jeszcze nader tania; skutkiem lepszych warunków hygienicznych śmiertelność dzieci zmniejsza się; gruźlicy panowanie zostaje ograniczonem. Już od przepychu tych miraży ćmi nam się w oczach, a do końca jakże daleko! Kolarze z zasady nie używają spirytualij, alkoholizm tedy bierze w łeb; a że „jak wiadomo“ duża cyfra zbrodni zostaje spełniona w stanie podniecenia alkoholicznego, tedy więzieniom grozi brak gości.

Bicykl posiada i głęboko przewrotowe kulturalne znaczenie: Stare przesądy znikną. Głupota uświęcona wiekami w ubraniach męzkich i kobiecych musi zniknąć. „Kobieta straci fałszywy wstyd i nabierze więcej odwagi“ (do czego?); kusi on również władze administracyjne do większej opieki nad drogami komunikacyj lądowych. A wreszcie — szerzy on oświatę. Subjekt ze sklepu, robotnik, szwaczka — ludzie, co dawniej znali zaledwie piwiarnie wiejskie i miejsca zabaw niekończenie godziwych — teraz mogą powoli poznawać okolice swego warsztatu pracy, życie wsi bliskich i dalszych, miast innych, nowych ludzi — widnokręgi ich rozszerzają się. Natura bierze ich pod swoje opiekuńcze skrzydła...

I to wszystko tkwić ma „immanentnie“ w dwu stalowych kółkach. Mój Boże, jeżeli pan Bertz się nie myli, (a kolarze nie mylą się!) — znowu będzie trzeba powtórzyć sobie anegdotkę o kolumbowem jajku!

BADANIA NAUKOWE.

DOROBEK SOCYOLOGICZNY.

II.

Dział, noszący nazwę socyologji religijnej, zajmuje w trzecim *Roczniku socyologicznym* miejsce, pod względem objętości, naobszerniejsze. Ponieważ możemy uważać w pewnej mierze rozmiary każdego działu za wskazówkę co do kierunku studyów i ich rozmiarów, przeto trzeba mniemać, że poszukiwania nad początkami wierzeń i obrzędów religijnych przykuły do siebie względnie najliczniejszą gromadę z pośród pracowników, usiłujących odcyfrować przeszłość kulturalną rodu ludzkiego.

Działalność ta jest wieloraką.

Jedni, korzystając z takiej obfitej kopalni początkowych wierzeń i ukazującej się dopiero organizacyi rytuałowej, jaką przedstawiają ludy dzikie i barbarzyńskie, starają się zgromadzić materyał, opisujący zwyczaje, wierzenia i obrzędy przedstawicieli niższych szczebli rozwoju kulturalnego. Inni pracują nad porównaniem tych zbiorów, wydobyciem stamtąd wątków ogólniejszych i odbudowaniem, na tej podstawie, zatraconego łożyska rozwojowego szczepów, wyżej posuniętych w cywilizacyi. Inni jeszcze zwracają się ku studyom nad tak zwanemi wielkiemi religiami, jako to: jahwizm, buddyzm, mazdeizm, przyczem uzbrojeni w rezultaty porównawczej etnologii, rzucają zgoła nowe światło na przeszłość myśli ludzkiej. Ogół tych wysiłków, na pierwszy rzut oka, przedstawia zamęt najzupełniejszy. W pamięci wypływa wyrzeczenie Saint-Simona o anarchii, która rządzi zarówno produkcyą dóbr materyalnych, jako też działalnością naukową i artystyczną naszej epoki. I istotnie, przeglądając prace, poświęcone rozbiorowi pokrewnych pytań z zakresu socyologii religijnej, jesteśmy niemal zdumieni brakiem wzajemnego oddziaływania. Każdy pracuje, jak ślimak w skorupie swojej, często badając to, czego inni dokonali w sposób o wiele lepszy, korzystając z materyałów, które zostały uznane za podejrzane, nie nie wiedząc o tem, jakie postępy zrobiono tuż w pobliżu, o miedzę, w tej samej niemal dziedzinie. Jednak, przy bliższem wejrzeniu, niepodobna nie spostrzedz, iż wszędzie, w najopporniejsze nawet zagadnienia rozpatrywanej sfery, przedostaje się duch nowy i działa tam zapładniająco: zwyczaje żyjących ludów pierwotnych dostarczają fermentu, wdzierającego się wszędzie i obe-

cnością swoją zmuszającego nawet najrutyniczniejsze punkty widzenia do zmiany stanowiska. Sztuczne tłomaczenia, wybryki rozkołysanej fantazyi specyalistów, naciągania lingwistów, rojenia celtomanów i innych manów, wszystko to pierzcha pod dotknięciem żywej rzeczywistości, istniejącej śród ludów niższej kultury. Tym wpływom, przychodzącym od szczepów dzikich i barbarzyńskich, z skwapliwą pomocą pospiesza folklor, wykazujący, jak nawet w najbardziej rozwiniętej cywilizacyi, istnieją jeszcze prastare pokłady wierzeń i praktyk i jak z obrzędów i zwyczajów dzisiejszego włościanina europejskiego dadzą się odbudować kulty klasyczne Demetry, Dionizyusza, Penatów. Rzecz zaszła tak daleko, iż ktoś, mniej obeznany z starożytnością klasyczną, ale natomiast panujący nad wynikami folkloru i etnologii porównawczej, zdoła głębiej sięgnąć w przeszłość cywilizowaną i odsłonić rzetelniej charakter kultów klasycznych, aniżeli erudyta, który zjadł zęby na wertowaniu pomników greckich i rzymskich, ale pozostał odgrodzony murem chińskim od rezultatów, otrzymanych przez etnologię porównawczą.

Wobec tego znaczenia studyów bezpośrednich nad wierzeniami niższych ludów, zwrócimy naturalnie uwagę przedewszystkiem na tę dziedzinę poszukiwań. A jest to rzecz tem godniejsza zachodów, iż w ubiegłym roku ukazało się parę prac dość wielkiej wartości, zwiastujących zgoła nową epokę w naszej znajomości bytu i zapatrywań niższych szczepów. Dzieła Morgana, Howitta, Kubarego były jako jaskółki, które nadleciały zawcześnie, i dużo wody ubiegło, zanim zostały zrozumiane i ocenione. Ale zrobiły swoje: dały przykład i co więcej, podniosły skalę wymagań. Dzisiaj, prace, oparte na podobnie sumiennym materyale źródłowym, pojawiają się coraz częściej i zwolna dostarczają cegiełek do przyszłego gmachu kultury ludzkiej. H. J. Junod, długoletni misyonarz wśród Ba-rondów, wydał monografię tego plemienia, zresztą nieposiadającą tego znaczenia, co inne dzieła, o których zamierzamy mówić. Naprzód Barongowie blizko od trzech stuleci znajdują się pod wpływem Europejczyków, którzy skolonizowali wybrzeża Laurenço-Marques; powtóre, sam autor niewiele słyszał o wymaganiach, jakie etnologia dzisiejsza stawia monografiście. Swoją drogą, znajomość wieloletnia ludu robi swoje, monografia Junoda zawiera dużo ciekawych przyczynków. R. E. Bennett, zdaje się także misyonarz, poświęcił specyalnie pracę folklorowi i wierzeniom plemienia Fjortów, zamieszkującego pewną dzielnicę w Kongo francuskiem, a praca jego jest tem cenniejsza, ponieważ jedna z powag afrykańskich, miss Kingsley, znająca osobiście Fjortów, zaopatrzyła książkę Bennetta swojemi uwagami, a folklorzysta angielski, Hartland, udzielał rad i wskazówek przy pisaniu. Tylko co wspomniana miss Kingsley wydała swoje studya nad Afryką zachodnią, gdzie zatrzymuje się między innemi nad zapatrywaniami filozoficznemi i obrzędami religijnymi murzynów. Teit wydał, na podstawie tak samo osobistych spostrzeżeń, tradycye i podania Indyan z nad rzeki Thompsona (w Kolumbii brytańskiej)— rzecz odznaczającą się mnóstwem nieznanych szczegółów, a J. Curtin — podobny zbiór mitów o stworzeniu rozpowszechnionych śród dwóch plemion kalifornijskich, Janów i Wintunów. Wszystko to są cenne przyczynki, pisane przez ludzi, którzy dzięki wieloletniemu pobytowi wśród ludów pierwotnych są w możności głębiej przedstawić stosunki społeczne i wierzenia, niż jak to robiły dawnej daty źródła etnologiczne, dostarczające materyału pierwszym próbom na polu socyologii szczegółowej. Lecz po nad wszystkiemi wyliczonemi pracami góruje wartością swoją zbiorowa książka B. Spencera i F. Gillena o plemionach Australii środkowej,— praca, która autorów swoich stawia pomiędzy najwybitniejszymi zbieraczami surowego materyału. Jeśli sprawozdawca *Rocznika socyologicznego* oświadcza, że jest to jedno z najważniejszych dzieł etnografii i socyologii opisowej, jakie zna, to bynajmniej nie popełnia przesady. Jej doniosłość przewybornie uwydatnia się w tych dyskusyach, jakie wywołała i przyznać musimy, iż prócz prac Morgana, nie umielibyśmy wskazać żadnej innej, któraby tyle wywołała uwagi w kołach uczonych. W towarzystwie antropologicznem londyńskiem w ciągu paru posiedzeń toczyły się rozprawy z jej powodu, w których brali udział Tylor i Frazer. Andrew Lang zabrał głos w specyalnych artykułach, co zrobił i Frazer. Chodzi o to, że poszukiwania Gillena i Spencera rzucają zgoła nowe światło na początki totemizmu, systemu zarazem społecznego, filozoficznego i religijnego szczepów pierwotnych. Społecznego, bo każde plemię rozpada się na pewną ilość działów, zewnętrznożennych, noszących nazwy pospolicie zwierząt, jak u nas herby Ślepowronów, Lisów, Ciołków i in.; filozoficznego, bo każdy z tych działów uważał siebie za część społeczną odpowiedniego społeczeństwa zwierzęcego, nie jadł mięsa swoich krewniaków zwierzęcych, a solidarność swoją posuwał tak daleko, iż w uroczystych chwilach występował przybrany w ubiór, naśladujący kształty zwierzęcia; wreszcie religijnego, gdyż mniema, iż na czele każdej takiej społeczności zwierzęcej stoi sachem-zwierzę, które posiada moc nadprzyrodzoną i może okazać swoim krewniakom ludzkim poparcie w potrzebie, byleby dopełnili odpowiednich obrzędów. Studya badaczów australskich wykazały, iż w przeszłości totemowej, t. j. członkowie takiego działu plemiennego, pobierali się pomiędzy sobą oraz jedli swego totema. Frazer, wychodząc z tych danych, mniema, iż bogactwo totemiczne w zarodku swoim przedstawiało związek czarodziejski, rozporządzający w swojem przekonaniu władzą nad odpowiednim gatunkiem zwierzęcym i że dopiero później zamieniło się na grupę, hołdującą zasadom wstrzemięźliwości. Tylor stanął w obronie twierdzenia przedwcześnie zgasłego socyologa holenderskiego, Wilkena, wyprowadzającego totemizm z animizmu, Lang zaś zajął stanowisko sceptyczne, mniema bowiem, iż utraciliśmy wszelki klucz do odcyfrowania stanu umysłowego, w którym powstał totemizm; zwyczaje plemienia Aruntów, badanego przez Gillena i Spencera, uważa on za wynik osobliwego rozwoju, rdzennie miejscowego. Zresztą nie rozszerzamy się nad pracą zbiorową etnografów N. Holandyi, gdyż w przeszłym roku umieściliśmy artykuł o niej w *Prawdzie*. Dla tych samych powodów powstrzymujemy się od wzmianki o dziele Andrew-Langa *Początki religii* (The Making of the Religion), w której ten wybitny i oryginalny badacz usiłuje dowieść, iż monotozim stanowi zasadnicze jądro wierzeń dzikich, wykoszlawione dopiero pod wpływem dalszego rozwoju.

Uderzającą jest obfitość przyczynków do wierzeń starożytnych Hebrajczyków, co zresztą jest rzeczą zrozumiałą wobec wpływu, jaki ten lud wywarł wierzeniami swemi na naszą nowożytną kulturę. Mamy tam prace, ożywione nowym duchem, t. j. liczące się z wynikami poszukiwań etnograficznych, jak przyczynek J. Freya, po niemiecku, do wiary w duszę i do kultu zmarłych wśród dawnych Izraelitów; inne, jałowe, usiłujące oświetlić podania izraelskie z punktu wywodów szkoły Max Müllera, jak książka E. Stuckena o mitach astralnych u Hebrajczyków, Babilończyków i Asyryjczyków, widząc w legendzie o Locie i Jakóbie przeróbkę mitów o ciałach niebieskich. Na uwagę zasługuje praca niemiecka Wildeboera o stosunku wzajemnym nauki Mojżesza a wierzeń codziennych ludu izraelskiego. Badacz ten stara się udowodnić, iż nauka zawarta w Pięcioksięgu a później broniona i rozwijana przez proroków, jest w życiu Izraelitów względnie późnym nabytkiem, wysubtelnionym i oczyszczonym przez wybitniejsze i bardziej filozoficzne umysły szczepu, że pod nią istniał inny pokład zwalczany od początku przez duchowieństwo lewickie, bardziej nieokrzesany a daleki od monoteizmu. Pokrewną tezę podejmuje Anglik, T. Witton, w książce swej „O magii, demologii i wróżbiarstwie u Hebrajczyków i ich sąsiadów," oraz Niemiec L. Blau w swem „Starohebrajskiem czarownictwie." Zwłaszcza ostatnia książka odznacza się wyraźnie postawionem zagadnieniem. Autor mniema, iż w urzędowych księgach nadaremnie poszukiwaliśmy jakichkolwiek cenniejszych szczegółów co do codziennych wierzeń i praktyk ludu izraelskiego, gdy były one wytworem kapłaństwa, i co najwyżej zawierają w sobie wskazówki walki z przesądami ludowymi i tępienia zabobonu. Jednak i one świadczą wymownie o tem, iż po za urzędowym rytuałem istniały przesądne obrzędy. Blau mniema, iż Talmud lepiej przechował żywą tradycyę o tej stronie życia starożytnych Hebrajczyków.

Tutaj winniśmy wspomnieć jeszcze o paru pracach nad wierzeniami ludów semickich. Pierwsze miejsce z pośród nich należy się książce Amerykanina, Morrisa Jastrowa, o religii Babilończyków i Asyryjczyków, oraz szkicom J. Wellhausena.

Świat klasyczny, pomimo prac Frazera, pozostał ulubioną widownią harców szkoły naturalistycznej, znanej lepiej pod nazwą kierunku Max Müllera. Dla jej przedstawicieli jak gdyby nie istniały te obfite a wydajne przyczynki, które zawdzięczają swe powstanie poszukiwaniom porównawczo-etnologicznym. Zbliżają się oni do mitów, jako do zagadek, pod któremi ukrywają się poetyckie przenośnie procesów przyrodzonych. Przypominają mechaników, którzy nie chcą uwierzyć, iż skrzynka może otwierać się niekiedy zapomocą prostego klucza, a natomiast usiłują ją odemknąć przy pomocy zawikłanych manipulacyi. Jako wzór takich poszukiwań, możemy wskazać pracę H. Usenera o mitach o potopie. Usener pod uwagę bierze specyalnie podanie greckie, znane każdemu z nas z mitu o Deukalionie. Wykazawszy, iż podanie to powstało niezależnie od podania semickiego o podobnym kataklizmie przyrody, usiluje w niem widzieć przenośnię o pojawieniu się świtającego dnia na wierzchołkach górskich! Deukalion, tak przekonać nas mają wywody lingwistyczne, nie jest niczem innem, tylko małym Zeusem. Po tem zasadniczem twierdzeniu idą inne, aż póki nie będzie dowiedzionem to, co musi być dowiedzionem! Co do nas, wynosimy jedno tylko wrażenie, mianowicie, iż wiedza ścisła może być przytułkiem wyłącznie wyobraźni, jak i dziedzina poezyi. Z pośród tej powodzi, dodatnio wyróżnia się praca Mommsena o uroczystościach dorocznych Aten starożytnych. W gruncie rzeczy jest to drugie wydanie pracy badacza niemieckiego, napisanej jeszcze w r. 1864, ale tak zmienione nawet w zasadniczych punktach swoich, iż musimy ją uważać za zgoła nowe dzieło.

Na tem kończymy swój przegląd przeszłorocznej literatury w zakresie socyologii religijnej. Na ostatek pozwolimy sobie wymienić jeszcze pracę F. S. Kraussa o metodyce folkloru, zawierającą bibliografię dzieł w tym przedmiocie z lat 1891 do 1898.

L. K.

NOTATKI NAUKOWE.

Zaraz po śmierci prof. Stosława Łaguny podaliśmy zwięzły obraz jego życia i zasług naukowych. Uzupełniamy go dzisiaj kilkoma ustępami przepięknej charakterystyki, jaką zamieścił Szymon Askenazy w lipcowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej*.

„Był to starzec mały, szczupły, suchy, ruchliwy, na sztywnych nieco nogach, ożywiony, wymowny, a choć pod koniec życia zaczął głuchnąć, oczy zachował młode aż do zgonu. Po za swoją podwójną specyalnością dziejopisarza i prawnika wszechstronnie i wytwornie ukształcony, iście europejskiej umysłowej ogłady, szerokich i światłych poglądów na świat, na życie, na sztukę, był on świetnym przedstawicielem wysokiej kultury nawskróś polskiej, udoskonalonej zarazem na lepszych wzorach zachodnich. W szczególności były w nim żywe tradycye kulturalnej wymiany ze światem duchowym francuskim, jak gdyby odgłos dziedzicznych tradycyj z doby Stanisława Augusta, Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego. To też najlepiej mogliśmy go sobie wyobrazić w poważnem towarzystwie Stanisławów Potockich, Matuszewiczów, Małowskich, Niemcewiczów albo Lelewelów, za stołem Rady stanu, w gabinecie ministeryum sprawiedliwości lub oświaty i wyznań, albo może najstosowniej na krześle rektorskiem Królewsko-Aleksandrowskiego uniwersytetu, lub na miejscu prezydyalnem w Towarzystwie przyjaciół nauk. Uczony mąż polski przeniknięty był zarazem duchem kodeksu Napoleona, był także znakomitym znawcą literatury francuskiej XVII i XVIII wieku. Lubił nieraz cytować Boileau albo Monsquieuego; a nie zaniedbywał nawet najnowszej literatury pięknej Zachodu i w przerwie pomiędzy lekturą „Patrologii“ a „Monumentów Poloniae,“ chętnie brał do ręki wiersz Sully Prudhomma, albo powieść Maupassanta, którego cenił wysoko. Wieleż pamiętamy z nim rozmów, gdzie roztaczał zdumiewającą wszechstronność swojego bogatego ducha, w skromnej swojej pustelni przy ulicy Maryańskiej, pośród stosów książek i rękopisów, pośród atmosfery uczoności i kurzu, a zarazem pośród owej przeczystej harmonii cnoty, mądrości i słodyczy, jaką dokoła siebie stwarzał gospodarz. Osobliwe były te gawędy, w tym zwłaszcza względzie, iż w stopniu nadzwyczajnym odsłaniały niezmierną rozmaitość, giętkość i rzutkość jego umysłu, unaocznioną mianowicie w zupełnie wyjątkowej, jemu tylko właściwej obszerności i swobodzie kojarzenia pojęć, jakiemi wypełniał i prowadził rozmowę. Można to tylko wyrazić na przykładach. Tak naprzykład z powodu poezyj prowansalskich Konopnickiej w *Bibliotece Warszawskiej*,“ dowiedzieliśmy się ciekawych szczegółów o zaginionych rękopisach Węgierskiego po jego śmierci w Marsylii, a w końcu usłyszeliśmy uczoną argumentacyę w kwestyi: czy Klaudyan był poganinem, czy też chrzczony? Pomnimy, iż po tej ostatniej, długiej i nauczającej gawędzie ze steranym i schorzałym starcem, wyszliśmy wtedy z sercem ściśnionem, pełnem ciężkiego żalu. Nie był to żal nad Łaguną, gdyż jedyne uczucie, jakie on zdolen był budzić, wśród jakichkolwiek warunków, to było uczucie wysokiego męzkiego szacunku, które dla czego innego nie zostawiało miejsca. Ale żalem przejmowała nas myśl o kraju, o społeczności, wydającej ludzi, którymi szczyciłyby się najoświeceńsze społeczeństwa Europy, a którzy wśród nas, w oczach naszych, więdną w cieniu i półbycie.“

LITERATURA I SZTUKA.

Nowy obraz dziejów literatury polskiej.

(Ciąg dalszy).

Wszeregu dawnych pisarzów polsko-łacińskich, odtwarzających bezkrytycznie przeszłość narodową, autor sprawiedliwie wyróżnia Jana Długosza, ale go przecenia, bo mu, bez należytych motywów, nadaje miano „pierwszego naszego historyka“ (tom I, str. 109). W dalszych wszakże określeniach, przecząc samemu sobie, odbiera bezwiednie kronikarzowi, ofiarowany przed chwilą, dyplom dziejopisarski: „historyk nasz (powiada na str. 114) nie miał nawet poczucia odrębności stosunków dawnych w porównaniu z temi, jakie się za jego czasów ustaliły lub ustalały: jemu cała przeszłość przedstawiała się w tych kształtach, jakim się on za życia swego przypatrywał...“ Z tych słów każdy rozsądny czytelnik wyprowadzi wniosek, że Długosz był pozbawiony najelementarniejszego, właściwego historykowi, zmysłu; bo nie odczuwał idei rozwoju.

Konsekwentniej, lecz bez należytej zupełności i oświetlenia, scharakteryzowana została droga z owej doby, wybitna postać umysłowa—imponujący wiedzą i energią ducha, naturalny przeciwnik Długosza w sferze poglądów moralno-politycznych, humanista i husyta, Jan Ostroróg, autor słynnego *Pamiętnika o urządzeniu Rzeczypospolitej* (*Monumentum pro reipublicae ordinatione*) oraz jedynej w swoim rodzaju, wspaniałej, głębokiej a ognistej, choć bardzo treściwej, mowy do papieża, Pawła II. Chmielowski ocenił pierwszą z dwu prac, ale o drugiej wcale nie wspomniał. Poczytuję mu to za błąd wielki: bo mowa Jana Ostroroga wypowiedziana w r. 1467, wkrótce po zawarciu z Krzyżakami pokoju toruńskiego, którego stolica apostolska potwierdzić nie chciała, jest szlachetnym protestem, potężnym wyrazem indywidualizmu i samowiedzy narodowej. Stanowi ona w historyi literatury polskiej, w dziejach duszy społeczeństwa—puściznę o wiele droższą, niż niejedna kronika. Pokrywając milczeniem cenny pomnik żywej myśli, autor w obrazie wieku XV-go poświęca kilka kart rozwlekłej a czczej i nieoryginalnej gadaninie o Grzegorzu z Sanoka, mitycznym humaniście, który po sobie nic godnego uwagi nie zostawił. Natomiast prawie zupełnie pomija zasymilowanego w części z naszą narodowością, Kalimacha (Filipa Buonacorsi); chociaż on sam, nie kto inny, pod wpływem wdzięczności za przytułek i protekcyę, skreśliwszy barwny, a silnie panegiryzmem nacechowany, życiorys arcybiskupa lwowskiego, otworzył tym sposobem swemu opiekunowi drogę do nieśmiertelności — tak, iż Grzegorz z Sanoka, bez żadnej na danem polu konkretnej zasługi, stał się niemal bożyszczem dla całego szeregu niestrudzonych w przepisywaniu, naszych historyków literatury.

Ze wszystkich odmian piśmiennictwa naukowego dzieła i wogóle teorye filozoficzne, w najobszerniejszem danego słowa znaczeniu mianowicie te, które wkraczają w sferę rozmyślań nad przyczynami zjawisk świata duchowego i ludzkiego,—najbliżej stykają się z twórczością poetycką. Stąd w historyi literatury pięknej, jako czynniki zewnętrzne i zarazem pierwiastki składowe, choć podrzędne, w pewnej ograniczonej mierze uwzględnione być muszą. Chmielowski uznał tę zasadę, ale ją w swej książce zapóźno i niedość umiejętnie wyraził. O różnych prądach myślowych, które w ciągu kilku wieków na literaturę polską wpływały, wspomina tak zwięźle, że go z pewnością nie zrozumie nikt z tych, co elementarnego kursu historyi filozofii nie przeszli. A przecież książka, jak widać ze stylu i sposobu traktowania rzeczy, ma zakrój dzieła popularnego; przeznaczonego dla ogółu z wykształceniem średnio-gimnazyalnem. Jeśli w wykładzie historyi literatury polskiej konieczną rzeczą jest wspomnieć o filozofii scholastycznej — jeżeli tego kielicha goryczy w żaden sposób oddalić niepodobna, to trzeba rzucić trochę światła na zagadkę, w postaci odpowiednich wiadomości zasadniczych, czyli podać miniaturową historyę filozofii — od najdawniejszych czasów aż do wieku XV-go. Łatwiej już będzie potem objaśnić epizodycznie czynniki myślowe, jakim ulegała literatura w XVI-ym i XVIII-ym stuleciu. Piotr Chmielowski w trzech pierwszych tomach zupełnie, można powiedzieć, zaniedbał tę kwestyę, i dopiero na początku IV-go, przystępując do dziejów „literatury na wychodztwie“ (czyli emigracyjnej), umieścił niespodzianie, dość obszerny stosunkowo (20 blizko stronic druku zajmujący), artykuł o myślicielach polskich danej epoki — Hoene-Wrońskim, Kremerze, Trentowskim, Libelcie i Auguście Cieszkowskim. Może to było potrzebne, jako wstęp do drugiej doby romantyzmu, wchłaniającego w siebie niektóre pierwiastki współczesnych systematów idealistycznych; ale dlaczego autor nie przygotował należycie czytelnika, dlaczego odpowiednim wykładem historyczno-filozoficznym nie poprzedził obrazów literatury wieku XVI-go i XVIII-go? Sądzę, że *Pana Tadeusza* daleko łatwiej zrozumieć, bez pomocy Hegla, Schellinga i całego legionu myślicieli tej szkoły, niż np. przeczytać z korzyścią *Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego*, poznać ducha *Trenów* i *Pieśni* Jana z Czarnolasu, nic nie wiedząc o dawnej filozofii greckiej. Ustępy, rozpoczynające tom IV-y, są tembardziej zbyteczne, że autor, nie sięgając do źródeł systemu, mimochodem tylko wspomina o Heglu i innych mistrzach, którzy za gwiazdy przewodnie myślicielom naszym służyli, a na poetów — jak Stefan Garczyński, Zygmunt Krasiński — bezpośrednio wpływali.

Znaczną część książki zajmują życiorysy. Są to wogóle, pozbawione barwy psychologicznej i kunsztu literackiego, suche notatki, których rozmiar niezawsze odpowiada stopniowi ważności roli historycznej pisarza. Biografia np. Karpińskiego lub Woronicza jest o wiele szczegółowsza i staranniej ułożona, niż Jana z Czarnolasu, o którego rodzicach nawet nie wspomniano. W datach (bardzo zresztą dokładnych) zauważyłem— oprócz sprostowanego powyżej roku urodzenia J. U. Niemcewicza — dwie mało usterki. Józef Bartłomiej Zimorowicz umarł nie w „1682“ (tom. II, str. 52), lecz w dniu 14 października 1677-go, jak wskazuje świeże odkrycie biograficzne, i zgodny z niem napis na tablicy pamiątkowej, wmurowanej przed trzema laty w ścianę kamienicy, gdzie niegdyś był dom „burmistrza, poety i kronikarza lwowskiego.“ Andrzej Towiański zakończył życie nie w „1876“ (t. IV, str. 43), ale 13 maja 1878-go — co sprawdzić można w rocznikach pism peryodycznych.

Obaczmy nakoniec, jak nasz historyk-estetyk traktuje różne zjawiska istotnej i mniemanej twórczości poetyckiej.

Ustęp o zabytkach prozy polskiej z wieku XVI-go (tom I, str. 77) tak się zaczyna: „Na pierwszem miejscu i jako utwór natchnienia, i jako dużą księgę, postawić należy *Psałterz Floryański*.“

Jakto, — prozaiczny, ciężki przekład psalmów ma być poczytany za dzieło „natchnienia poetyckiego"?.. Chyba autor mówi o pierwowzorze?

Nieco dalej (tom I, str. 99), notując, powstałe pod wpływem brzasków humanizmu, pierwociny wierszopisarstwa łacińskiego w Polsce, zgoła niepotrzebnie przytacza spory wyjątek z listu *miłosnego*, daleki od wszelkiej poezyi, a odrażający jakiemś wyjątkowem, chłodno-naiwnem prostactwem.

Artykuł o Reju (tom I, od str 174 do 188) należy do najzupełniejszych pod względem treści i najstaranniej opracowanych; jest on jednak stosunkowo (mianowicie w porównaniu z rozprawką o Janie Kochanowskim) za obszerny i za szczegółowy. Nie zachowano też właściwego umiaru między różnemi jego częściami. Świeżo odkryty np., ale próżny wartości literackiej, ułamek pamfletu pseudo-dramatycznego p. n. *Kupiec*, znalazł bardziej drobiazgowe i jaśniejsze sprawozdanie, aniżeli najokazalsze dzieło Reja: *Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego*. Przecenia również Chmielowski pierwszą satyrę Mikołaja z Nagłowic (*Krótką rozprawę*...). Trudno w niej dopatrzyć „malowniczości"; niepodobna także przyznać, że „wiersz 8-zgłoskowy płynie żywo i raźno."

Nadzwyczaj pobieżnie rozprawia autor o Marcinie Bielskim i Łukaszu Górnickim. Prawowite płody ducha czasu—*Dworzanin polski*, *Dzieje w Koronie*, *Sejm niewieści* — jak cienie, mijają przed oczyma, nie pozostawiając żadnego określonego pojęcia o utworach w umyśle czytelnika.

Postać Jana Kochanowskiego (choć mu autor słusznie przyznał miano „najznakomitszego poety naszego przed Mickiewiczem") ułomnie i blado została narysowana. Całkiem błędnie cząstkową ocenę jego charakteru i działalności twórczej oparto na *Satyrze*. Jest to ze wszystkich obszerniejszych, można powiedzieć, najuboższy w pierwiastek poezyi, najmniej własny, chociaż niby oryginalny, utwór Jana z Czarnolasu. Pomysł do *Satyra* podsunął niezawodnie przyszłemu sekretarzowi królewskiemu Piotr Myszkowski. Poeta, młody jeszcze podówczas, przemawia tonem zgderliwym i suchym, jak pochylony wiekiem, starzec. Dość, dla porównania, przypomnieć sobie którąkolwiek z prac późniejszych, aby odgadnąć, że to nie objaw jego indywidualizmu, że występuje on tu w obcej dla siebie, narzuconej roli. Nie półmartwy *Satyr*, lecz głęboko-liryczne *Treny*,— bogate treścią, mieniące się barwami, *Pieśni* i *Elegie*,—bezpośrednie, szczere wybuchy poważnej refleksyi i humoru satyrycznego, *Fraszki*, wraz z jaskrawo-prawdomównem *Carmen macaronicum* — służyć mogą za grunt i materyał do nakreślenia portretu wieszcza-humanisty. Przyznanie chłodnemu utworowi satyryczno-dydaktycznemu pewnego pierwszeństwa przed innemi pracami Kochanowskiego wynika, jak się zdaje, stąd przeważnie, że autor, bardziej socyolog, niż estetyk, w swych poglądach na literaturę szuka najpilniej ogniw, łączących ją z życiem społecznem; a *Satyr* jest, bądź co bądź, objawem określonych dążeń polityczych w danej epoce. Zmierzając po właściwym sobie torze do syntezy, historyk powiada, że Jan z Czarnolasu „niedalekim był od żądania zniesienia celibatu księży." Pomijam styl (zwykły u Chmielowskiego), „jak zgrzyt żelaza po szkle," przejmujący dreszczem; zwrócę jedynie uwagę na to, iż autor po jezuicku ukrywa prawdę; bo trudno przypuszczać, żeby nie znał między innemi wiersza łacińskiego (El. XVI księgi III), gdzie Kochanowski gorąco przyklaskuje godom weselnym Dudicza (Duditha), swego przyjaciela, co, zrzuciwszy fiolety biskupie, przyjął protestantyzm i ożenił się (r. 1567) z Reginą Straszówną... *Fraszki* obchodzą go nie jako barwne wyrazy nieskrępowanej niczem, samorzutności psychicznej, lecz jako odgłosy tłumnych zabaw i wesołego nastroju biesiadniczego. Zestawiając je z wcześniejszymi nieco, *Figlikami* Reja, taką refleksyą wieńczy swe rozumowanie (t. I, str. 204): „Zamiast piwa, którego dużo trzeba pochłonąć, ażeby się upić, widzimy tu na stołach wino; stąd (!) niema tych trywialnych i niemiłych szczegółów, jakie u Reja tak często się spotykają (!). Więc „Bacha kwas" ma przewagę nad napojem Gambrynusa, jako czynnik etyczny?.. Zabawne odkrycie — skorzystać z niego mogą... humoryści i handlarze wina, potrzebujący reklamy.

Z poglądami estetycznymi autora częstokroć trudno się zgodzić. W wierszyku miłosnym Szarzyńskiego, na cześć Jadwigi Tarłówny, Chmielowski uwydatnia tylko „jedno śliczne wyrażenie" (t. I, str. 222): „Tobie gwoli serce mię boli." Nie wiadomo, doprawdy, co w tem naiwnem zdaniu jest „ślicznego"? — chyba sama prostota? Dla zakochanych lada westchnienie, wykrzyknik, słówko niedomówione — wydać się może pięknem; lecz estetykowi taki urok psychicznej tajemniczości nie wystarcza. Gdy Jan Kochanowski śpiewa: „Tobie gwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi," — przyklaskujemy stylowi mistrza i wiemy, dlaczego: prostą refleksyę podniósł tu na wyżynę obrazka poetycznego szczęśliwie użyty animizm; podkreślone wyrażenie Mikołaja Sępa Szarzyńskiego — utalentowanego zresztą liryka — nie ma podobnej siły, należy do pospolitych, a stać się może pięknem dopiero w odpowiednim związku z innemi.

Flis Klonowicza jest oceniony tradycyjnie, jako „poemacik." Historycy literatury powinniby się już przecie odważyć na rozbrat ze spleśniałym dogmatem pseudo-estetycznym, według którego wszelka („firmowa" mianowicie) próba mowy wiązanej zaliczona być winna do poezyi. *Flis* — to naiwna a szpetna parodya słowa twórczego: wszystko w nim, zaczynając od rdzenia myśli, a kończąc na formie zewnętrznej, obraża ideę piękna. Wisłę, główny przedmiot opisu, przedstawia Klonowicz, w długim szeregu monotonnie powtarzających się, trywialnych wyrażeń, jako potworę, która liczne dopływy swoje chciwie połyka. Wplecione pretensyonalnie, pełne niekiedy naturalnego uroku, podania — jużto obce, jużto rodzime — pod surowem piórem prozaika-pseudorymotwórcy, właściwy sobie wdzięk tracą — kostnieją i brzydną. Takiemu losowi uległ tu między innymi, przesliczny (spożytkowany artystycznie przez Muzeusza i Schillera) myt starogrecki o Leandrze i Hero. Wreszcie budowa wiersza, najeżonego cudackimi rymami („wyrok—wzrok", „mur—klasztor") może świadczyć „w dobie rozkwitu" o najgłębszym upadku mowy wiązanej. Niepodobna też, za Chmielowskim, *Workowi Judaszowemu* nadawać bezwzględnie miana poematu; ale wkracza on w tę sferę kilku pięknymi ustępami, a jest bardziej jednolity pod względem układu i o wiele poprawniejszy.

(C. d. n.).

Antoni Gustaw Bem.

KRONIKA.

Szkoły. Ukaz senatu rządzącego z d. 29 październik 1899 r. stanowi, iż w myśl art. 394 ustawy o zakładach naukowych, do wygłaszania odczytów publicznych dla ludu dopuszczone być mogą oprócz duchowieństwa i nauczycieli i inne osoby, byleby zwierzchność szkolna i gubernialna uznała ich za prawomyślnych, przyczem prawomyślność ta ma być stwierdzona co do każdej z tych osób oddzielnie. Odmawianie pozwoleń na odczyty tym wszystkim, którzy nie są nauczycielami szkół rządowych lub duchownymi, senat uznał za niezgodne z prawem.

— Sprawę budowy internatu dla studentów instytutu politechnicznego ostatecznie postanowiono. Obecnie wydział naukowy ministeryum skarbu polecił warszawskiemu oddziałowi Banku Państwa wejść w układy z magistratem o nabycie od miasta posesyi sąsiadującej z instytutem przestrzeni 6,143 sążni. Nabycie posesyi tej na budowę internatu jest niezbędnem, zwłaszcza, że z czasem może ona być użyta na rozszerzenie zakładów pomocniczych instytutu. Magistrat nie zgodził się na sprzedaż rzeczonej posesyi, ale zaproponował zamianę jej na część placu, należącego do oddziału Banku, przy ulicy Nowogrodzkiej, przestrzeni 2,987 sążni. W razie dojścia do skutku tej zmiany magistrat na placu przy ul. Nowogrodzkiej wzniesie gmach na pomieszczenie szkół miejskich.

Kary za pijaństwo *Prawit. Wiest.* ogłosił rozkaz Najwyższy o zmianach, zaszłych w stosowaniu kar za pijaństwo. Zasady zmian tych są następujące: Osoby, znajdujące się w miejscach publicznych w stanie wyraźnie nietrzeźwym, zagrażającym bezpieczeństwu i spokojowi publicznemu, usuwane będą przez policyę, a chwilowo mogą być zatrzymywane do czasu wytrzeźwienia, tudzież karane według prawa. Następnie zabrania się pod groźbą kary: uczestniczenia w zebraniach, mających na celu spożywanie napojów alkoholicznych na placach i ulicach, w podwórzach i podsieniach jak również w granicach osad miejskich tam, gdzie użycie trunków zabronione jest przez odpowiednie postanowienia. Za wykroczenia te winni podlegają karze aresztu od trzech dni do dwóch tygodni, lub grzywnom od 10 do 50 rb.

Dobroczynność Obywatele austro-węgierscy, zamieszkali w Warszawie, zawiązali Towarzystwo pomocy, które według ustawy zatwierdzonej w czerwcu 1899 ma polegać na rozdawaniu ubogim pożywienia, odzieży, datków, ułatwianiu poszukującym pracy, na dostarczaniu pomocy lekarskiej, umieszczanie starców w ochronach i przytułkach itp. Członkowie założyciele płacą 100 rubli jednorazowo, czł. rzeczywiści 3 rb rocznie, lub 50 rb. jednorazowo, czł. czynni — nie mniej, niż 1 rb. rocznie. Zapisy są bardzo pożądane; przyjmuje je konsulat austryacki ul. Jasna 2.

Opis stracenia 20 chińskich wichrzycieli 1870 r. podaje *Siewier. Kuryer* Ucięto im głowy na żądanie rządu francuskiego, jako zadośćuczynienie za rzeź chrześcian, dokonaną w Tien-tsinie, w której zginęła taka mniej więcej liczba Europejczyków. „Egzekucya była naznaczona na wpół do szóstej rano, w tych miejscowościach w październiku bywa zupełnie jeszcze ciemno. Li-Chung-Czang tłomaczył wczesną godzinę stracenia obawą wrogiej dla cudzoziemców manifestacyi ze strony ludu. Ale właśnie, jak się okazało, chciał on ukryć przed mieszkańcami Tien-tsinu ten akt zadośćuczynienia, aby nie mówiono, że rząd poświęca Chińczyków dla cudzoziemców. Przedstawiciel francuski, którego konsul posłał na miejsce kary w swojem zastępstwie, opowiadał: skazanych wyprowadzono z więzienia pod silną strażą. Ubrani byli oni w nowe jedwabne szaty i nowe obuwie — podarek rządu. Włosy zaczesane po kobiecemu. W drodze z początku wesoło gawędzili z tłumem, który zebrał się licznie, mimo wczesnej godziny. „Czy zmieniły się twarze nasze?" — pytali oni. „Nie, nie... nie zmieniły się!"—huczała wielogłosa odpowiedź. Następnie skazańcy zaczęli głośno oskarżać rząd chiński, że sprzedał głowy ich cudzoziemcom. „Pochwalcie nas, powiedźcie, żeśmy... zuchy!" prosili otaczających i tłum natychmiast spełniał ich żądania. Dużo krewnych i przyjaciół z płaczem i jękami odprowadzało skazanych. Po przybyciu na miejsce delikwenci zaśpiewali, urzędnik dał znak i nim widzowie zrozumieli o co chodzi, dwadzieścia głów ludzkich potoczyło się na ziemię..."

Ruch kobiecy. Dr. Contzen z Kolonii ogłasza rezultaty swojej ankiety, dokonanej w Holandyi w zakresie pracy w aptekach. Pracuje dwa razy tyle kobiet, co mężczyzn. Na 1,275 uczniów i pomocników — wypada 840 kobiet (67%). Przyczynę znaleźć łatwo. Kobieta pobiera 850—1,275 franków rocznie, mężczyzna 1,000—1,700!

— W wyższej szkole dla kobiet „Wellesley-College" (Ameryka) zaprowadzono kurs nauk handlowych.

— W Moskwie, Charkowie i Odesie otwarto w r. b. kursy gospodarstwa wiejskiego dla kobiet.

— Na kongresie rolnictwa w Paryżu omawiano sprawę wykształcenia rolniczego kobiety. Sprawozdawca, Kamil Pabst, domagał się zakładania szkół rolniczych dla kobiet, które mogą utrzymać kobiety wiejskie na roli i uchronić je od emigracyi do miast. Takie szkoły istnieją już we Francyi w Coetlogon pod Rennes, w Kerliver i Houilles — w słabym jednak tylko stopniu czynią zadość potrzebie. Kongres postanowił domagać się wprowadzenia nauki gospodarstwa wiejskiego do programu szkół ludowych i liceów oraz zakładania specyalnych szkół rolniczych dla kobiet.

Sztuka. Gabriel Max, słynny malarz monachijski, obchodził 13 sierpnia 60 rocznicę urodzin. Pochodzi z Pragi, był uczniem Piloty'ego, poszedł swoją drogą, nie drogą naiwnego natchnienia, ile raczej — rozmyślań. Obrazy jego zwracają się do fantazyi, budzą dreszcz zgrozy wizyonerską siłą, odsłaniając zasłonę, co kryje ostatnie tajniki bytu, grając na strunach, spoczywających głęboko w duszy ludzkiej. Są pełne nastroju i niezmiernie „aktualne," w tym sensie, że są zrozumiałe dla danego tylko momentu w czasie i przestrzeni. Max oddawał się z zapałem hypnotyzmowi, spirytyzmowi, teoryom Haeckla — i rozmyślania w tych studyach teoretycznych poczęte znajdowały swój wyraz w licznych obrazach. Niema na nich szarzyzny codziennej, twarzy z ulicy; wszystko to są kreacye nadzwyczajne, mistyczne niekiedy, niekiedy znowu demoniczne („Męczennica," „Madonna," „Anatom," „Światło," „Adagio," „Ojcze Nasz," „Chrystus," „Chusta św. Weroniki.")

Zmarli. Sołowjew Włodzimierz, znany filozof i publicysta rosyjski, ur. 1853 w Moskwie, zm. 13 sierpnia.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu G. A. B. Do zwrotu.

Pani Z. M. w Kijowie. Działalność taką poprzedzić musi dwuletni nowicyat przy zakładzie św. Kazimierza. Bliższych informacyj zasięgnąć Pani może, pisząc wprost do Przewielebnej Matki w „Instytucie św. Kazimierza" w Warszawie, Tamka 35.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Августа 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.